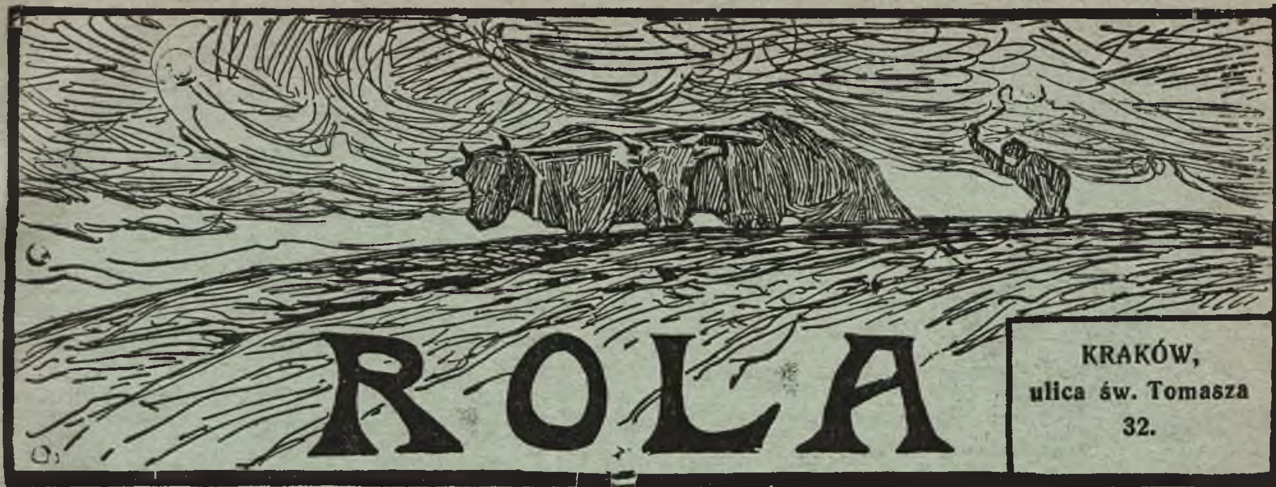
Numer 2. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 8 Stycznia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Ostatnia pociecha.

Do starego umierającego wilka morskiego zawołano pastora. Kiedy wszedł do chorego, zauważył na stole butelkę rumu.

— Czy to jest ostatnia wasza pociecha w takiej chwili — pyta z wyrzutem.

— Nie, panie pastorze, mam w piwnicy jeszcze kilka butelek.



Tyle butów?

— Ty, Moryc, potrzebujesz brać przykład z twego ojca kiedy on przyjechał do Poznania, to miał tylko jedną parę butów, a teraz ma miljon.

— A na co mu aż tyle par butów?



W złym humorze.

Doktór: Piwa, wina, wódki, proszę nie pić. Rozumie pan?

— Iii, pan doktór dziś jest w złym humorze. Ja przyjdę jutro.

Przeciwieństwa.

— Powiedz mi kilka przeciwieństw.

— Gorąco i zimno, dzień i noc, pokój i wojna, ojciec i matka.



Kohn.

Moryc Kohn służy w wojsku. Jest ostre strzelanie, Kohn strzelił dwadzieścia trzy razy i dwadzieścia trzy razy chybił.

— Słuchajcie Kohn — mówił mu sierżant — moglibyście spełnić dobry uczynek: strzelcie sobie w łeb.

— Rozkaz, panie sierżancie.

— Wtył zwrot.

Kohn znika za murem. Po chwili słychać strzał.

— Co ten idjota zrobił — woła sierżant i biegnie na pomoc.

Ale Kohn wychodzi z muru, zdrów i cały i melduje:

— Panie sierżancie, znów chybiłem!

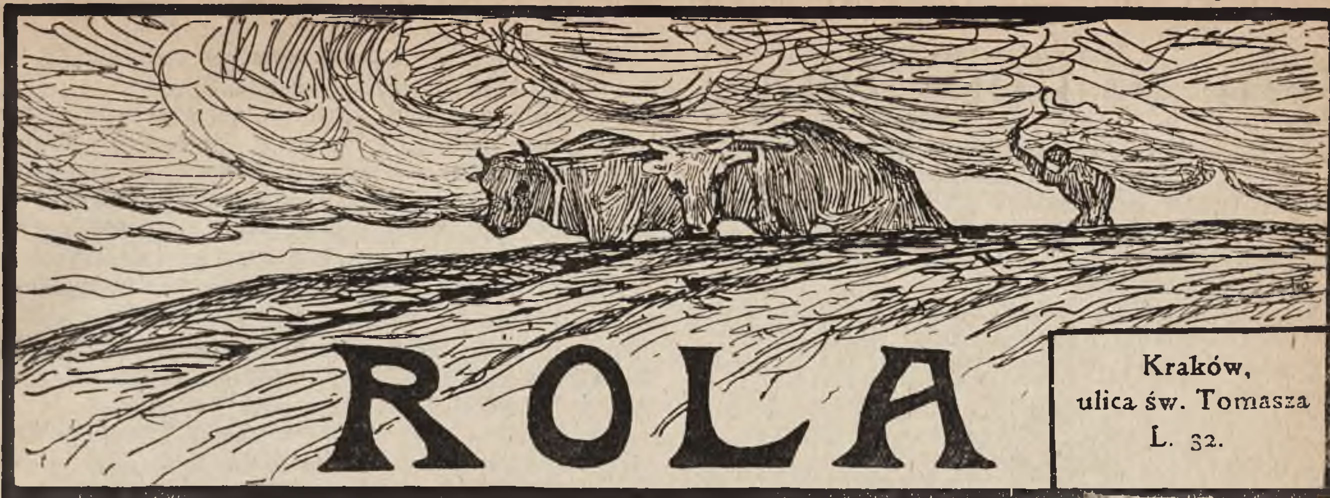


Z listu kucharki do narzeczonego.

Kochany Jasiu!

Posyłam ci kawałek cielęciny. Jest on mały, ale pochodzi z serca kochającej cię Wiktusi.

Numer 2. **XI. Rok** **Kraków, dnia 2 Stycznia 1928**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Uroczystość Trzech Króli.

Uroczystość Trzech Króli jest ostatnią w cyklu świąt odnoszących się do Bożego Narodzenia. Od przybycia Monarchów do stajenki Betleemskiej ustał przywilej mianowania się przez żydów narodem wybranym. Oni to pokłonem swym u stóp Zbawiciela stwierdzili, że odtąd nie masz jakiegoś narodu wybranego, ale wszyscy jesteśmy wezwani do chwały wiekuistej i wszyscy jesteśmy narówni dziećmi Bożymi. Oni to, ci Trzej Królowie, w imieniu naszem oddali się pod władztwo jednego i jedynego Boga.

Składając hołd Dzieciątku Jezus, złożyli Mu w ofierze Trzej Mędrcy: złoto, kadzidło i myrrę. Złoto — jako królowi Kościoła św., kadzidło — jako Bogu, a zarazem Najwyższemu Ofiarnikowi, wreszcie myrrę — jako człowiekowi. Przedziwnie trafna symbolika tych darów wskazuje na wyższe, nadprzyrodzone kierownictwo, któremu Trzej Królowie byli powolni.

Na pamiątkę owych darów kapłani w dniu tym poświęcają odpowiadające im przedmioty, dodając kredę, którą następnie wierni znaczą imiona owych Mędrców na drzwiach swoich mieszkań. Złoto, kadzidło i myrra to są symbole tego, co powinniśmy Panu naszemu ofiarować. A więc złoto kornego i karnego poddaństwa; kadzidło chwały, a zwłaszcza modlitwy; myrrę pokuty i umartwienia, a choćby tylko przyjmowania w duchu pokuty przykrych zarządzeń Opatrzności.

W Rzymie w dniu tym odprawia się jedyna w swoim rodzaju „uroczystość języków“ na okazanie, że wszystkie narody powołane zostały do uczestnictwa w dobrodziejstwach Odkupienia. Najprzód odprawiają kapłani Msze św. w tak zwanej kaplicy Propagandy we wszystkich językach i obrzędach. Następnie w ozdobnej sali przemawiają z podwyższenia przedstawiciele różnych narodów, każdy w języku ojczystym. Uwydatnia to naocznie jedność i potęgę Kościoła katolickiego.

Uroczystości Trzech Króli poświęcił piękny wierszyk przed latami Władysław Syrokomla, który poniżej podajemy:

Gdy niedostaki nas gniotą, gdy zbytki zgubić nas mogą, Chryste, zrodzony ubogo, Ty pobłogosław nam złoto! Gdy wieśniak ginie bez chleba, gdzie jęczą w łachmanach chorzy, tam złota wiele potrzeba, tam niech się złota przysporzy. Kiedy występku ohyda ma złota, ile zamarzy, Królu, potomku Dawida, daj go na chleb dla nędzarzy. Gdzie nie masz pola do pracy, gdzie wątłe siły żywota, błagamy, jako żebracy: Daj złota, Boże! daj złota!

Kadzidło — to symbol chwały, należny tylko Jehowie, a przecież w człowieczej głowie dymy aromat rozlały. Bogactwo, wziętość lub władza, piętno zatarły w nas Boże, a dym kadzidła przeszkadza, że człek być człekiem nie może. Złącz nas w braterskie ogniwo, o Chryste, o Boże z nieba! Daj nam zasługę prawdziwą, której kadzideł nie trzeba! Gdy piekieł pycha obrzydła z Tobą się mierzy zuchwale, przeżegnaj garstkę kadzidła, niech służy ku Twojej chwale!

Myrra — to symbol cierpienia. W niej pobłogosław łzy nasze! Gdy cierń nam serca opasze, niechaj się wiara nie zmienia, niechaj nadzieja pokrzepi, niech miłość wskrzesi nadzieje, że jutro będzie nam lepiej, że się nam słońce zaśmieje. Ośmiel nas, że mamy prawo zaufać Tobie, jak ojcu! I Tyś w Oliwnym Ogrojcu pocił się łzawo i krwawo! Gdy cierpień wpiją się miecze, gdy pęka serce sieroce, Chryste, zbolały człowiecze, błogosław myrry owoce!

Pomimo, że tyle lat upłynęło od napisania owego wierszyka, jest on i dzisiaj nadzwyczaj aktualny.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

Szwadron w mig sformował się w długą linję, a pułkownik wołał do mnie i do Skalskiego:

— Adjutanci, ruszajcie do innych szwadronów niech się formują i idą za mną!

Nie bardzo mi się chciało opuszczać sformowaną do szarży naszą wiarę, ale rozkaz był wyraźny. Zwróciłem więc konia i pędząc słyszałem, jak Konopka komenderował:

— Skróć cugle, do ataku broń! pędem marsz!

Rozległ się z dwustu piersi wyrzucony okrzyk: „Niech żyje cesarz!“ i szwadron, schyliwszy lance, ruszył do ataku. Piechota pruska pluła ołowiem nieustannie, kule gwizdały i brzęczały, jak osy, armatki ryknęły, a mnie aż na płacz się zbierało, że udziału w tej walce wziąć nie mogę. Tem było to przykrzejsze dla mnie, że wszyscy rotmistrze, nim ja i Skalski do nich dobiegliśmy, widząc, co się dzieje, sami bez rozkazu formowali swe szeregi i zrywali się do szarży. Słowem, ja tu byłem zupełnie niepotrzebny i przy trzecim szwadronie wahałem się, czy jechać dalej, czy też przyłączyć się do niego i polecieć w bój, który tam za mną ze straszną wrzawą już się toczył. Ale czytając w książkach tyle razy, że posłuszeństwo rozkazom starszych jest pierwszą powinnością żołnierza, że niespełnienie tych przykazów grozi kulką w łeb, jechałem dalej, zgrzytając z wściekłości zębami. Piąty pluton czyli ostatni formował się także lewem ramieniem naprzód, więc postanowiłem do niego się przyłączyć i z nim razem ruszyć do szarży. Rozgorączkowany wrażeniami tego dnia, napół nieprzytomny, jedynie myślący o tem, by biec tam, gdzie nasi walczą z Prusakami, przyskoczyłem do rotmistrza Górskiego, starego wygi z siwymi wąsami i zawołałem:

— Panie rotmistrzu, ja z waćpanem jadę!

Spojrzał na mnie rozgniewanemi oczyma, obrzucił wzrokiem od stóp do głów i huknął:

— Idź do kopy djabłów!

Rozgniewało mię to bardzo, choć gdybym się był wtedy zastanowił, musiałbym przyznać, że rotmistrz, traktując mię w ten sposób, miał zupełną słuszność. Każdyby tak samo postąpił. Będąc zajęty formowaniem szwadronu i przygotowywaniem go do szarży, nie mógł inaczej odrzec jakiemuś młokosowi nieznanemu, który do niego przylatuje i oświadcza, że także do szarży pójdzie. Ale ja się wtedy nad tem nie zastanowiłem, tylko oburzony do głębi zawróciłem konia, wołając:

— Odpowiesz mi pan za to!

Rotmistrz zapewne tej groźby żakowskiej nie słyszał, bo już podniósł szablę do góry i krzyczał:

— Skróć cugle, do ataku broń!

Furknęły chorągiewki, lance się pochyliły, i szwadron z okrzykiem: „Jezus, Marja, Józef!“ rzucił się, jak lawina, naprzód. Ten widok skierował w inną stronę pożerający mnie gniew. Pragnąłem teraz za wszystko pomścić się na Prusakach. Ścisnąłem więc szablę w garści, przyskoczyłem do prawego skrzydła szwadronu i leciałem z nim na złamanie karku.

Kiedy tak pędzę, nic nie widząc przed sobą, bo kłęby dymu prochowego i kurzu zakrywały wszystko, nagle słyszę koło siebie głos Grzesia:

— Niech się panicz dobrze trzyma, ja tu jestem!

Obejrzałem się i widzę, jak Grześ, pochylony na grzywę końską, z lancą wymierzoną do ataku, z oczyma rozognionemi, pędzi i krzyczy:

— Prać Miemców! prać! na rany Chrystusa prać!

Ale nie było już kogo prać. Gdyśmy w szalonym pędzie przypadli na pobojowisko, już oba bataljony pruskie leżały powalone i roztratowane na ziemi, a ułani nasi, zmieszani w bezładną kupę, kłuli lancami piechurów lub błagających o życie brali do niewoli.

Zatrzymałem konia, co mi się z trudnością udało, żeby się rozejrzeć lepiej, i widząc w odległości kilkunastu kroków uciekającą grupę żołnierzy pruskich, rzuciłem się za nimi z podniesioną szablą do strasznego ciosu, krzycząc:

— Stójcie, Szwaby przeklęte! Porąbię was na sztuki!

Wtedy jeden z nich zatrzymał się i, rzucając karabin na ziemię, zawołał po polsku:

— Nie zabijaj, panie! jestem Polak!

Oczywiście odrazu opadła mi ręka. Wszyscy czterej byli to nasi rodacy, z Wielkopolski, z pod Wrześni. Na ich widok, na słowa, że są Polacy, szał rzezi, żądza krwi, miotająca mną do tej chwili, nagle mię opuściła. Patrzyłem na ich twarze opalone, czarne od dymu prochowego, spocone i przerażone z niewysłowionem uczuciem litości.

— Skądżeście się tu wzięli? — pytałem.

— A cóż, panie kapitanie — odrzekł jeden z nich, podoficer czy kapral, bo miał naszywki galonowe na rękawach — wzieni nas do wojska i tu przypędzili.

— Biorę was do niewoli — rzekłem — może wstąpicie do naszych ułanów.

— A to óni, proszę pana kapitana, są katolicy?

— A jakże, i Polacy.

— Ha! toć i dobrze, wszyćko nam ta jedno, a zawszeć lepiej u swojaków służyć, jak u Śwabów. Prawda, chłopcy? — obrócił się do swoich.

— Pewnikiem, że tak! — odrzekli chórem.

W tejże chwili z krzykiem dopadło nas kilku dragonów bawarskich z krwawemi szablami w rękach, widocznie w zamiarze porąbania moich bezbronnych jeńców wielkopolskich. Na czele owych dragonów sadził na ciężkiej niemieckiej szkapie znany mi dobrze ze spotkania w oberży przed kilku dniami wachmistrz Fischer. Widząc na co się zanosi, zastąpiłem drogę dragonom i krzyczę po niemiecku:

— Halt!

— Dlaczego halt? — pytał na pół pijany Fischer, chwiejąc się na koniu — my chcemy porąbać tych przeklętych Prusaków.

— To nie są Prusaki, to są Polacy i moi jeńcy.

— Fort! — krzyknął Fischer i zamierzył się na mnie szablą.

Na ten widok ogarnął mię gniew szalony. W jednej chwili znanym mi dobrze młyńcem wytrąciłem mu szablę z łapy i płatnąłem go przez gębę tak, że zlany krwią padł na ziemię. Ale już dragoni, w liczbie pięciu, widząc swego wachmistrza padającego z konia, śród strasznych przekleństw, rzucili się na mnie. Byłoby bardzo krucho ze mną, gdybym, widząc w pobliżu kilku naszych ułanów, nie krzyknął na nich:

— Chłopcy, ratujcie, kto w Boga wierzy! — a sam począłem się opędzać nacierającym na mnie dragonom.

Ułani, właśnie z pierwszego szwadronu, więc znający mię dobrze, bom przez całą drogę jechał przed ich frontem, doskoczyli mi z pomocą i wysadzili w jednej chwili z siodeł dwu dragonów, a reszta uciekła.

— Dziękuję wam, bracia — rzekłem do naszych zuchów — uratowaliście mi życie. Te hycle opadły

mię jak osy. Weźcie tych biedaków (tu wskazałem na jeńców) — to są nasi rodacy z Wielkopolski i katolicy — i zaprowadźcie ich gdzie w bezpieczne miejsce. Oni wstąpią prawdopodobnie do naszych szeregów.

— A umiecie jeździć konno? — spytał jeden ułan.

— A jakżeby! Nie umielibyśwa?

— Pocoście poszli do Prusaków?

— Albośmy to sami poszli? Wzieni nas, to i musieliśmy iść.

— To wasze szczęście, żeście trafili na pana adjutanta, inaczej już dawnobyście gryźli ziemię.

— Niech ta Pan Jezus wynagrodzi panu hadjutantowi — mówili jeńcy, kłaniając mi się do kolan i ściskając mię za nogi.

Sięgnąłem do trzosa i, wydobywszy garść dukatów, dałem ułanom, żeby się podzielili, w nagrodę za ocalenie mi życia. Zabrali jeńców i krzycząc: „Wiwat pan adjutant!“ wesoło odjechali.

Rozejrzałem się po polu bitwy i widząc, że pod miasteczkiem formuje się nasz pułk, ruszyłem tam wolno, omijając starannie trupy pruskie, gęsto leżące na polu, i kałuże dymiącej się jeszcze krwi.

Jadę więc tak, omijając trupy i rannych, gdy słyszę za sobą cwałującego konia i znany mi dobrze, krzykliwy głos Grzesia:

— Paniczu! pa... ni... czu...!

Zatrzymałem się, obejrzałem i widzę, sadzi na swej szkapie, a drugiego, osiodłanego zupełnie konia prowadzi za uzdę; w garści trzyma lancę z podartą chorągiewką, a krew z niej ciurkiem ciecze i sam ma mundur krwią obryzgany. Obrzydzenie mię na to wzięło i, odwracając się, pytam:

— Czyś ranny?

— Co zaś ma być! Zdrów jestem, jak ryba. Oto pięknego kónia zdobyłem na jakimś jednerale śwabskim, którego sielmę piką we wnętrzności trochę tknąłem, aż mu plecami zielazo wyszło. Kóń niczego i może kto kupi, jeno przyciężki nieco. Ho! ho! paniczu... nie tak... panie adjutancie (gadał dalej, jadąc za mną), wojna to dobra rzecz! Jakem ułan! prać można, co się zmieści. Ja też prałem, aż mi ręce ustawały. A com talarów srebrnych nazbierał! ho! ho! ja teraz bogacz!

Paplanina jego odwróciła moją uwagę od krwawego widoku i jakoś uspokoiła mię, więc pytam:

— Dużoś zebrał talarów?

— O! cały trzos od tego jednerała, com go zadźgał, i też zegarek piękny i pierścieni parę.

— Więc rabowałeś, zbóju jakiś? — krzyknąłem.

— Co zaś miałem rabować! Czegój panicz krzyczą? Jak jednerał dech wypuścił, to miałem ostawić talary i zegarek i pierścienie, żeby niemieckie dragany zabrali? Wolałem sam wziąć, bo mi się też należało. Napracowałem się setnie, ażem się spocił.

Dojeżdżaliśmy już do naszych, więc nic nie odrzekłem — bo i co tu było mówić? — i ruszyłem do pułkownika Konopki, który stał na uboczu i coś rozpowiadał jakiemuś jenerałowi francuskiemu.

Ale nie na tem miały się skończyć zdobycze wojenne Grzesia. Nazajutrz po tej pierwszej bitwie, a właściwie nie bitwie, ale potyczce, wysłano z naszego pułku czwarty i piąty szwadron, w którym właśnie mój famulus służył. Oddział ten napadł na ogromną ilość wozów, prowadzących bagaże i kasę armji pruskiej. Około pięciuset takich wozów, bronionych słabo przez garść jazdy pruskiej, i jaszczyków z pieniądzmi dostało się w ręce naszych zuchów. Huzarzy francuscy siali potem tem złotem, jak plewami, a Grześ mi się przyznał, że zdobył tysiąc trzysta kilkadziesiąt dukatów w złocie.

Z tych wszystkich zdobyczy mnie się dostał za kilka talarów bardzo piękny koń z pod jakiegoś oficera pruskiego.

W pułku było mi coraz lepiej, bo coraz więcej znajomości robiłem. Oficerowie, z małym wyjątkiem, byli dzielni chłopcy, gotowi się ostatniem podzielić. Korciła mię tylko służba adjutancka, która była dość uciążliwa, odsuwała mię od szeregów i nie dawała możności odznaczenia się, a nawet awansu. Prosiłem też parokrotnie pułkownika, żeby mię odesłał do pułku, ale nie dał sobie nawet gadać o tem:

— Waćpan masz słuchać — wołał — i wykonywać to, co ci rozkazują, a nie rezonować.

Oczywiście na takie słowa nie było co odpowiadać. Musiałem więc siedzieć na mem adjutanctwie razem ze Skalskim i, jak powiadam, najwięcej mię korciło to, że nie miałem możności odznaczenia się, a co za tem idzie, i awansu.

Ale anim się spodziewał tego, że właśnie odznaczę się wkrótce tak, jak nikt w całej armji, i że sława mego imienia rozszerzy się szeroko i nawet w buletynach cesarskich i rozkazach dziennych będę wymieniony.

Stało się to tak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O zaczynie śmierci.

Krok za krokiem zaczynamy poznawać, że z prawem Boskiem żartów niema i słusznie. Gdy jakiś mechanik wynajdzie maszynę, to umieszcza w niej kółka i dźwignie naprzód obliczone, które wedle tego obliczenia zgodnie funkcjonują. Jeśli tą maszyną jest naprzykład sieczkarnia, to nie można nią młócić, ani orać, gdyż zadaniu swemu wtedy nie odpowie i jeszcze zepsuć się może. Człowiek w hjerarchji życia, ma również swoje fizyczne przeznaczenie, od którego świadomie i bardzo często dobrowolnie zbacza, za co też w jego dążeniach życiowych, w tym samym odpowiedniku objawiają się skutki owego zboczenia. W poprzedniej rozprawce mówiliśmy trochę o nałogach. Wiemy już, że nałóg powstaje z obniżenia woli i siły żywotnej, po poprzedniej przestrodze, że wprowadziliśmy w ustrój niepożądanego gościa. Nałóg jest dowodem, że organizm nie tak skutecznie walczy z owym niemiłym gościem, jakto się powszechnie zdaje, ale ulega mu stopniowo, to jest sam słabnie proporcjonalnie do potęgowania się nałogu. Poznaliśmy już działanie tytoniu i alkoholu, tych trucizn podniecających, które stoją w rzędzie szkodliwych używek wyradzających nałóg. Wszystko to, co działaniem swem upodabnia się do tytoniu i alkoholu, także te same skutki wywołuje, mniejsza, czy objawią się one bardziej niedostrzegalnie, czy też namacalnie. Cechą wszystkich używek, jest przyzwyczajenie tak silne, że bez nich obejść się już niemożna, albo tylko z wielkim nakładem woli i to wtedy tylko, gdy dość wcześnie człowiek się opatrzy. Ale człowiek opatruje się zwykle zapóźno, bo choć pragnie życia za wszelką cenę, niema jednak często zielonego pojęcia o tem, że przewrotnie żyje. Niewiedzieć, to nie znaczy być niewinnym; prawo chwyta każdego bez wyjątku i w tem właśnie leży sprawiedliwość, bo danem było człowiekowi wszystko ku przestrodze i zrozumieniu. Nie posłuchał tego głosu ostrzegawczego, więc zginął. Osłabił siłę żywotną lekkomyślnie wpadając w nałogi, więc stał się niewolnikiem własnych chuci i cierpi. Wóz i przewóz bra-

cie! Ale wróćmy do tematu i zacznijmy konfrontować trucizny z rozumem. Weźmy powietrze. W wolnej Przyrodzie jest on czyste, oddecha się nim przyjemnie, z zadowoleniem. Jestto czynnik bardzo ważny, gdyż za pośrednictwem płuc zasila wszystkie organa i zamianę materji pobudza pod warunkiem, że jest w tym składzie, jakim go nam Przyroda dała — niezużytym. Wchodząc do lokalu przepełnionego dymem i wyziewami, doznajemy zaraz na wstępie przestrogi, że weszliśmy w przestrzeń zatrutą, odczuwamy woń niemiłą, tłoczenie na piersi i zawrót głowy. Formalnie nie możemy tam być ani chwili dłużej, wydaje się nam, że udusimy się. Ale przecież w tym zaduchu siedzą ludzie i nietylko że nie duszą się, ale bawią się wesoło jeżeli to jest lokal publiczny, lub pracują, jeżeli to jest pracownia, czy kancelarja. Cóż to takiego? Oto, że siła żywotna będąca jeszcze w nas, ostrzega nas w porę, że grozi nam zatrucie, podczas gdy u tamtych została już stłumioną: działania zatrucia już nie czują, niebezpieczeństwa już nie przewidują. Ciągnie ich lokal przepełniony, zadymiony, duszny, gdyż osłabiony ustrój zwalczonym został przez zatrucie i kieruje się rozkazem nowego pana: obcej, niszczącej siły! Jakież są skutki zatrucia złem powietrzem? Ustrój zwolna zostaje przepełniony nieużytkami, które winny być wydzielone, a nie zostały wskutek braku powietrza. Miazmy wsiąkły w krew i skaziły ją sobą. Krew stała się chemicznie inną od tej pierwotnej i człowiek stał się też innym na niekorzyść. Widzimy stąd, że świeże, a przynajmniej dobre powietrze, jestto bardzo ważna rzecz, a rozglądnijmy się po domach, po chatach wiejskich, po warstatach wogóle, a u szewców w szczególności, jakie tam powietrze! Doszło do tego stopnia zwyrodnienia, że ludzie boją się świeżego powietrza, tego daru Przyrody, a żyją i chorują w zgniliźnie ohydnych wyziewów, z obawy przed „przeziębieniem". Prawda i to, że na złodzieju czapka gore!

O chorobach będziemy mówili potem, narazie chodzi nam o wykazaniu dobitnie, że sprawcami nałogów są trucizny przed którymi w porę jesteśmy naprzód ostrzeżeni. Dużo razy to już powtórzyłem, żeby się Wam dobrze wbiło w pamięć. Odszczepieństwo człowieka od praw Przyrody, daje się zauważyć także w jego odżywianiu. Zamiast potraw niedrażniących, od których siła żywotna, a więc i zdrowie zależy, człowiek używa potraw krew rozpalających, zatem znowu trucizny. Ledwie oczy z rana otwarte, już spożyliśmy dozę trującej kawy lub herbaty. Po dzieciach najlepiej poznać jaki wstręt czują do tych używek, bo siła żywotna dzieci jest jeszcze naturalna i walczy zawzięcie. Do kawy i herbaty nawykamy nałogowo, jakkolwiek nie stanowią one żadnej odżywczej wartości, a przeciwnie równają się w skutkach tytoniowi: mają własność obniżania siły żywotnej i przyczyniają się do osłabienia woli. Chłop na wsi, gdy jadł swoją ścierankę, barszcz lub kaszę, był dawniej zgoła inny. Dziś, kiedy spija kawę na wzór miasta i gdzie może zjada mięso, upadł znacznie na sile fizycznej i moralnej. Konstatują to duchowni i komisje asenterunkowe. Potrawy mięsne u ludzi z miast, stanowią stałą używkę, jakkolwiek człowiek wcale do stworzeń mięsożernych zaliczonym być nie może. Mięso, chociaż posiada w sobie wszystkie składniki z jakich powstał człowiek, nie jest jego właściwym pokarmem, gdyż rozpala krew, wywołuje w naczyniach włoskowatych ustawiczne zapalenie, ulega szybko gniciu i spowodowuje jako zaległość, nagromadzenie się w kiszce grubej miljardów bakteryj, które produkują wiele trucizn wsiąkających w krew. I tak ta biedna krew, biedniejszego jeszcze człowieka została zafałszowaną, stała się niezdolną do walki uciąźliwej z wpływami obcymi, osłabły w niej pierwiastki odżywcze organów i dlatego to tak wielu niedowidzi, niedosłyszy i t. d. Jak każda używka, tak i mięso wywołuje skłonność nałogową, ociężałość, senność. Nagromadzenie trucizn w organizmie jednym słowem przekształca go doszczętnie, pozbawia odporności, hartu, pozbawia go skłonności naturalnych i wpycha go w odmęt chorób nigdzie w Przyrodzie niespotykanych. Dzisiejszy człowiek od pierwowzoru odbiegł tak daleko jak odbiegł wóz chłopski od lokomotywy. Niema już w nim hartu, zwinności i przyrodniej samodzielności — jest ociężały, krótkowzroczny, uparty a wyrafinowany, nerwowy kaleka, głęboki samochwał, często bardzo czterdziestoletni starzec, w którym grają wszystkie namiętności bez możności nałożenia wędzidła. Peractum est!

I cóż nam za pociecha z tego, że w ludzkim organizmie jest machina odkażająca, że są narządy wydzielające antidota i jest legjon budowniczych naprawiających zniszczone tkanki, skoro przy tem wszystkiem statystyka nas poucza o wielkiej śmiertelności i bardzo krótkiem życiu. Przez niewłaściwe odżywianie i niewłaściwy sposób życia, przekazujemy skłonności nasze dziedzicznie i dlatego ciężkie są pologi, ciężko się rodzą dzieci, ciężko wychowują, i często umierają wcześnie z niedostatku siły żywotnej. Ziębnące nogi i ręce, ten objaw zatrutej krwi jest na porządku dziennym, odczuwamy wieczny brak cieplika, kurczymy się w zimie, unikamy słońca w lecie, nie możemy dostroić się ani rusz do Przyrody, w której z taką swobodą ruszają się inne stworzenia. Wynika z tego, że nie mamy się czem chwalić, żeśmy posiedli rozum i jesteśmy panami świata, bo cokolwiek nam się zdaje i jakie nie mielibyśmy o sobie pojęcie, sami dobrowolnie idziemy ku przepaści. Co to będzie, gdy na dolinie Josafata zapyta cię Bóg: Jakto, stajesz przedemną niedoszedłszy nawet granicy, do której dojść miałeś? Cóż zrobiłeś z życiem, które strzec ci nakazałem? Dałem ci dwa talenty, a ty stajesz przedemną z długami? Pomyśl czytelniku. *Ludwik St. Unsing.*



Śnieg.

Przeszło lato, minął wrzesień,
Świat sposępniał, przyszła jesień,
Owinęła świat dokoła,
Liść z drzew opadł, zżółkły zioła.

Lecz to mało o niej jeszcze,
Jesień to dnie krótkie, deszcze,
Dnie zamglone, wszędzie błota,
Świat zmoknięty, żal, tęsknota...

A czas sunie stale w biegu,
Z deszczem spadł raz płatek śniegu,
Jeden, dziesięć, tysiąc, krocie.
Lecą z chmury, giną w błocie.

Lecą niby gwiazdki z nieba,
Bo świat zbrzydły przykryć trzeba.
Odziewają jak koszulą,
Czarną ziemię do snu tulą.

Co zdobiło, co brzydziło
Ten świat, wszystko już się skryło.
Śnieg jak puchy, jak łabędzie,
Wszystko kryje, pada wszędzie.

Władysław Bulek.

NA DALEKIEJ PÓŁNOCY.



Nie da się zaprzeczyć, że widok, jaki przedstawia nasz obrazek jest wprost cudowny. Jest to krajobraz dalekiej północy. A więc najpierw promienie słońca, wystrzelające jakby z pod ziemi, są jakieś inne, aniżeli u nas. Biegną nie z góry na dół, ale z dołu ku górze. To słońce, znajdujące się poniżej horyzontu śle je ku obłokom, a rozjaśniając je, oświetla również i ziemię. Na planie bliższym wznoszą się ni to góry, ni to ruiny jakiegoś starego zamczyska. Ostre ich szczyty strzelają śmiało w niebo, jakby chciały urągać słońcu i jego olbrzymiej ciepłocie. Są to góry lodowe, stapiane dniami, a orastające napowrót wśród długich nocy. U stóp tych widzimy zamarznięte jezioro, a nad niem stado białych niedźwiedzi. Wyszły one zapewne w poszukiwaniu za pożywieniem. Ale i w tych odludnych i zimnych okolicach wytropili je ludzie. Są tam dwaj myśliwi, których zwabiły białe futra niedźwiedzie. Jeden z nich coś jakby maczugą, czy kolbą od strzelby odpiera atak napastnika, drugi zmierza się doń, aby celnym strzałem powalić olbrzyma.

A teraz przypatrzmy się zbliska tem zwierzątkom. Niedźwiedzie należą do mięsożerców. Są budowy ogrubnej i niezgrabnej, pokryte kudłami; nogi mają pięciopalcowe, następnie, pysk ściągły, uzębienie mniej drapieżne, niż u innych mięsożerców, osobliwie ząb tnący jest słabo wykształcony, dlatego też wszystkie, z wyjątkiem niedźwiedzia białego, są za młodu roślino-żerne. U nas żyje niedźwiedź brunatny, mający jeden do dwóch metrów długości a do 200 kilogramów wagi. Daleko na północy żyją niedźwiedzie białe takie, jakie widzimy na naszym obrazku, dochodzące do dwa i pół metra długości, a do 600 kilogramów wagi. Żywią one się przeważnie fokami. Uwagi godnym jest niedźwiedź tak zwany pracz szop, tak wielki, jak lis, tylko grubszy, barwy żółtawo-brunatne, o długim, puszystym ogonie. Żyje w Ameryce. Nazwę ma od tego, że przed jedzeniem płucze pokarm. Futro z niego znane jest pod nazwą szopy.

Bajka o Nowym Roku.

(Dokończenie.)

Rzeczywiście nazajutrz, jeszcze dobrze nie rozświtało, a chłop już był na drodze do kościoła. Za nim w te tropy i Bieda pognała. Przyszedłszy do lasu poczęła wymyślać na chłopka: A ty błaźnie! a czy ci rozum odjęło, żeś się tak wczas wybrał do kościoła! a to poco? albo się w domu tak dobrze pomodlić nie możesz jak i w kościele?... widzisz jakiś ty durny, jeszczeć sobie pociemku guza nabijesz o jakie drzewo!...

Ledwo to rzekła, a tu chłop szturk głową o sosnę, której nie dowidział w ciemności, aż się całem ciałem zatoczył i omal jak długi nie rozciągnął się na ziemię. Bieda w śmiech: Masz tobie teraz! a com mówiła? Dobrze ci tak, poczekaj! jeszcze nie koniec na tem, zobaczę ja wkrótce, że się gdzie w jakiem dole skąpiesz po uszy w śniegu.

— Szczekaj sobie, szczekaj, paskudnico jakaś! — bąknął chłopek pod nosem i ruszał śmiało dalej, rozpatrując się pilnie za drogą. Ale właśnie, znaleść mu tam było drogi, kiedy wszędy śniegiem pozamiatało i nie znać było najmniejszego śladu. Wnet też stało mu się jak Bieda przepowiedziała: buchnął w jamę zasypaną śniegiem, aż prawie po same uszy. się schował i ledwo z biedą co się na wierzch wygramolił

A ona pokuśnica znowu swoje: No jeszcześ nie mądry? jeszcze ci się zachciewa kościoła?... a bodajże cię wilcy zjedli! bo i o to w lesie nie trudno.

Oj, także prawda! chłop aże struchlał na razie, kiedy spojrzał na bok w gęste krzaki, a stamtąd załyskały ku niemu dwoje wilczych ślepiąt niby dwie palące się świeczki. A jeszcze bardziej się postraszył, kiedy wyraźnie usłyszał, jak tam wilczysko zębcami kłapał o koście, co je z mięsa obgryzał. Ale niebawem opamiętał się ze swego strachu, i począł na głos przepowiadać sobie modlitwę: „Kto się w opiekę podda Panu swemu“ — i dalej w drogę. Już też i rozwidniło się; z dniem chłopu ducha przybyło, a zaś Biedzie strasznie poszło po nosie, skoro tu już widzi koniec lasu, i wieś niedaleką i błyszczący krzyż na kościółku, a chłopek wali naprzód a głuchy z kamienia był na jej wszystkie pokusy. — Aliści wychodząc z lasu, patrzy: drogą ode wsi sunie żwawo kilkoro sań, a na nich luda jak nabito, a wszystek tak dziwnie był wesoły: kobiety śpiewające, chłopy trzaskający z batów i wykrzykujący od czasu do czasu. Znać gdzieś z jarmarku wracali, a nie żałowali sobie przez noc poczęstnego, że w takiej wesołości byli. Widząc to Bieda aże z radości podskoczyła na obie nogi i przyklasnęła sobie w dłonie: Poczekaj paniczu! powie — jeśli cię teraz nie złapiemy, to już nigdy.

Tymczasem owa drużyna wesoła coraz bliżej najeżdżała na naszego chłopka, spieszącego na Mszę świętą do kościoła. Nareszcie trza się im było z drogi ustąpić. Pierwsze sanie minęły go i nic, drugie także, a na trzecich powoził jakiś chłopisko zawadjaka. Ten skoro zajrzał naszego chudopachołka, duchem powstrzymał konie i paląc mu z bata nad uchem, woła:

— A nie łaskaby z nami do kompanji? hej!

— Bóg wam zapłać! odrzecze nasz chłopek i chce dalej; ale tamten w tej chwili ze sanic i zaskakuje mu drogę:

— Co dziękujesz kpie jakiś! krzyknął i za barki go chwyta — siadaj kiedy cię proszą i kwita.

— Ależ nie mogę! wyprasza się nieborak. — Puszczaj mnie, człeku, ja ciebie nie znam i nie napastuj podaremnie ludzi.

— Siadaj! — wrzeszczy pijanica i jużci go przez moc wlecze do sań — póki cię proszę po dobremu! Ty, bo jak zacznę bić, będzie gorzej! Siadaj!

Toż samo i drudzy proszą, to znowu klną, aż brzydko było słuchać, a od wszystkich buchało już z daleka gorzałczysko, jak z kotła. I byliby już może wciągnęli go między siebie, ale nasz chłopek, cięta sztuka, skoroć zmiarkował, że to nie przelewki i że gotowi go nareszcie przemódz, czemprędzej pochwycił pijanicę wpół i jakby klockiem pomiótł nim na ziemię, a sam tymczasem dał susa w bok i dalej w nogi ku wsi, skąd już właśnie było słychać dzwonienie na Mszę św.

Temu wszystkiemu przypatrywała się Bieda z daleka. Już też cieszyła się, że chłopa posiędzie napowrót, aż tu widzi: źle! Chłop zmyka ku wsi, aż się za nim kurzyło, a pijaczyska w swoją stronę pognali. Już też nie miała czego poglądać, przegrała sprawę ostatecznie i musiała się rada nierada chłopa odczepić. I poczmychała w las na cztery wiatry... ta niechby ją tam wilcy zagryźli tę paskudną Biedę, żeby już nigdy po naszych ludziach nie chodziła!...

Owóż nasz chłopek i trzeciej próby dokonał szczęśliwie: do kościoła przyszedł na czas, wysłuchał Mszy świętej i pięknie się wyspowiadał, a Pana Boga prosił gorąco o błogosławieństwo na dalszą drogę żywota.

A kiedy po Mszy świętej wychodził z kościoła, to mu się prawie tak wydało, jakby nowo narodził się na ten świat, taki był jakiś wesoły, taki szczęśliwy, a wszędzie, gdzie okiem rzucił, widział samą przyjaźń dla siebie; znajomi zachodzą mu drogę, witają: A jakże się macie, miły kumie! co tam porabiacie? a żona, dzieci zdrowe?...

— Dobrze, dobrze! — odpowiada chłopisko nieprzytomnie, jak ten pijak, co sobie głowę zabałamucił wódką.

Oj pijany on był, pijany, ale nie od wódki, ani piwa, ani też od jakiego innego trunku, jeno od szczęścia wielkiego, co mu się tak niespodziewanie pojawiło. I przecie mu raz dali pokój z witaniem i puścili szczęśliwie do domu. I było już gdzieś niedaleko południa, kiedy wychodził z lasu. Patrzy, gdzie chałupina jego, co była pod samym lasem.

— O Jezu milusieńki! — zawołał i stanął, jak wryty na miejscu. — A to co się podziało?...

Ba, i miał się czemu tak bardzo dziwować: chałupinka gdzieś znikła odrazu, jakoby jej nawet nie było, a natomiast stanęło domostwo pięknie obudowane, z oborą, stodółką i pysznym sadem dookoła.

Stoi chłop pod lasem i oczom swoim nie dowierza, a wtem go ktoś uchwycił za ramię: był to Nowy Rok. Nasz chłopek pokłoni mu się i powie:

— O mój dobrodziejaszku! A toć mnie tu widzisz stojącego, jak głupca, bo dalibóg, że nic nie wiem, co to wszystko ma znaczyć?...

— Boskie to błogosławieństwo, człeku, coś je sobie dziś rano wymodlił w kościele — odrzecze Nowy Rok i pociągnie go za sobą do domu.

Skoro weszli na dziedziniec, naprzeciw wybiegła gospodyni, czerstwa i zdrowa kobieta, ani znać było na niej choroby, a wystrojona czysto, a na szyji pełno korali, jak u bogaczki. Własny mąż rozpoznać jej nie mógł, dopiero kiedyć rzuciła się mu na szyję i nazwała go po imieniu, przekonał się, że to sprawiedliwa jego baba. W izbie znowu dzieci przybrane w czyściuchną bieliznę, wesoło biegną do ojca i miłe go witają.

Przez ten czas Nowy Rok nic nie mówił, jeno z boku przypatrywał się ludzkiemu szczęściu, a niebieska jasność ogarnęła lica jego.

Skoro zaś chłop nacieszył się już dosyć i żoną i dziećmi, i całem swojem bogactwem, wtedy dopiero przemówił Rok Nowy:

— Owóż skończyliśmy już ze sobą, mój człeku! Teraz wypada nam w przyjaźni się rozstać! Bywajże mi zdrów, a pamiętaj sobie dobrze, jaką to próbą doszedłeś do tego szczęścia, co je masz dzisiaj: musiałeś się wyrzec kieliszka, po raz pierwszy — musiałeś pracować ciężko i pilnie, po raz drugi; a tak i Bieda trzymała się jeszcze twego proga, dlaczego? bo nie było w tem jeszcze błogosławieństwa Boskiego — dopiero za trzecim razem, uprosiwszy sobie je u Boga w gorącej modlitwie, napędziłeś Biedę precz i oto jak się szczęśliwie wszystko przemieniło dla ciebie. Szanujże się, chłopie, i czyń tak przez całe życie twoje, jak gdybyś miał zawsze odbywać te trzy próby, które ja, Nowy Rok, tobie zadałem, a do końca żywota twego nie będziesz potrzebował narzekać i wyklinać na zły rok, bo same dobre lata nastaną dla ciebie.

To mówiąc, odrazu znikł, jakoby się w powietrzu rozpłynął, i na tem już koniec.

Pies wybawcą.

Wicher wiał szalony i unosił tumany śniegu w powietrzu, gdy mały Józiu Skrobak w pewnej wioszczynie na Podolu, wyszedł z domu do szkoły. Mróz i wiatr dokuczały chłopcu okrutnie, gdyż za całe ubranie miał tylko dużą chustkę na sobie. Chłopiec to ręce zacierał, to nogami przytupywał, aby się choć trochę rozgrzać, ale daremnie. Chwilami usiadał przy drodze, aby po małej przerwie znów biedz dalej. A droga była daleka!

Nagle zobaczył na polu stóg słomy.

— Skryję się trochę w słomę, pomyślał chłopiec zawsze tam cieplej niż w polu. Ogrzeję się może, a do szkoły jeszcze zdążę.



Jak pomyślał tak i zrobił. Skulił się pod stogiem, i to dmuchał w ręce, to w słomę je zasuwał. Robiło się mu trochę cieplej, ale oczy coraz bardziej się przymykały.

— Gdybym tak był bogaty — myślał chłopiec — tobym sobie kupił kożuch, ale taki, żeby mi ręce, nogi i głowę przykrywał. Ej, nietylko sobie bym kupił, ale wszystkim chłopakom w szkole, bo poco mają marznąć biedacy?...

Wtem na chwilę otworzył oczy i jeszcze zimniej zrobiło mu się na całem ciele, zobaczył bowiem psa biegnącego wprost na niego. Zerwał się co prędzej i, ile tylko sił miał w nogach popędził naprzód. Zdawa-

ło mu się, że pies był wściekły i chciał go ugryźć. O zimnie nawet zapomniał i, jak nieprzytomny, wpadł do szkoły.

— Co ci jest? — zapytał nauczyciel, a chłopiec opowiedział całe zdarzenie.

— Dziękuj Bogu, — rzekł nauczyciel, — że cię ten pies wypłoszył, gdyż byłbyś zmarzł tam pod stogiem.



MACIEK BZDURA GADA:

Juz mi się tak ta służba u mojej gospodyni przyjadła, zebym sobie ją chętnie zmienił. Bez cały Boży rok niema niejakiej zmiany, ciągiem ino to samo i to samo, a jak zawse to samo, to ono sie przecie musi uprzykrzyć i nazawse obmierznąć. Cy to poniedziałek, cy wtorek, środa cy niedziela trzeba rano wstać, ogonom w stajni dać zarcia, potem je napoić, potem na zarniskach bez pare godzin kiełtykać, potem znowu do stajni zaźryć i ogony oporządzić i zarcie jem podsunąć, a gdy przyjdzie wiecór siedać do kądzieli i na równi ze wszyćkiemi nici smykać jaz do uprzykrzenia. A w niedziele to ino tyle odmiany, ze zamiast przy zarnach to sie człowiek troche w kościele na kazaniu przedrzymie. I to nie zawse! Przedrzymie sie, jak kazanie gada ksiądz probosc. Bo wiadomo, ze nas stary jegomość to juz starusek i takiego głosu silnego nie mają, zeby drzymiącego cłeka zbudzić. Ale jak na kazanice wyjdzie ksiądz wikary, to o spaniu ani gadki. Cłek młody, nie wyposcony, to mu i wewnątrz pary nie brakuje. Jak zacnie powiadać, a na rozmaitych powsinogów wymyślać, to choćby usy i pakułami zatkał, to ani myśleć ci grzysny cłeku o spaniu.

Bez to wszyćko, com powyzy powiedział, to mi sie juz służba do cna uprzykrzyła, a uprzykrzyła tembardziej, ze teraz moznaby na wyborach ućciwie zarobić. Niech ta Poniezus tego ma w swojej opiece, co te wybory wymyślił, a jesce bardziej za to, ze porobił takie okręgi wielgie, ze z końca na koniec trzebaby pare dni iść. I bez to jeden kandydat na posła ani rus nie da se rady. Choćby chciał europlanem latać, to za te dwa miesiące ani półby okręgu wyborcego nie obleciał. Zeby sie wścik, toby i wtedy nawet ani pół godziny w kazdy wsi nie móg ludzi obełgiwać. Bez to kuzden z takich kandydatów musi mieć kupe naganiacy, coby za niego ludzi cyganili. Przed pięciu laty jeden z moich znajomych był takiem naganiacem, to se potem postawił nowiusieńką chałpe, kupił osiemnaście mórg gruntu i codziennie bez całe pięć lat zar pirogi z kapustą i powidłami. Zyć takiemu a nie umierać. Ten mój znajomy na te wybory zgodził sie do inksego okręgu, bo do tamtego, gdzie był przed pięciu laty ze względu na własne bezpieceństwo nie chciał juz iść za zadne pieniądze.

Takie naganiactwo, to dobry interes i latego tak sobie, jak i wszyćkiem radze, aby sie go chwycili. Rozumu do tego wielkiego nie trza, a nawet on wcale nie potrzebny. Trzeba ino, jak sie wlizie między bidnych chłopów, pyskować na bogatych chłopów, jak sie gada z bogatemi chłopami, trza ujadać na panów i mieścuchów. W mieście trza psiocyć na wszyćkich wsiowych. Urzednikom trzeba mówić, ze sie im penksje podwoji, jak nima urzędnika, to nie zaskodzi powymyślać na nich, ze zaduzo co miesiąc biorą. Dziwki i baby łapie sie na nabozność. Latego trzeba co dzień być w kościele i choć pół godziny modlić sie na ich intencje. Między Piastowcami udawać Piastowca ino inksego gatunku, takiego bez Witosa, między Chadekami udawać Chadeka ino bez Korfantego, między endekami udawać endeka ino bez tych, co kradli i cyganili, póki ich Marsałek w maju na zieloną trawe nie wyścigał. Między socjalistami trza udawać socjaliste, ino takiego, co to jesce w Pana Jezusa wierzy. A wszyćkiem obiecywać i obiecywać, co ino ślina na jęzor przyniesie, bo to przecie nic nie kostuje, a kandydat za wszyćkie gadania sumiennie zapłaci. A jeśli tam casem kto gdzie i nawali cłeka troche, to nic sobie z tego nie robić, ino wszyćko ofiarować na większą chwałę Boską.

Radze więc kazdemu ućciwie pójść na te dwa miesiące na takiego naganiaca, a potem bez pięć lat wyzyrka za bez durno zapewniona. Latego tez i ja od Nowego Roku służbe mojej gosposi wypowiedziałem i ogłasam konkurs na moją osobe, jako ze chce być naganiacem wyborcem. Uda sie, to sie uda, a jak nie, to jesce mi zostanie ratunek w zeniacce. Nie będzie ta, to będzie inksa, a nie będzie inksa, to będzie jesce inksa, bo tego towaru na świecie nie brak, a kuzda ma większą łoskome na chłopa, jak kot na spyrke.

Pech.

(Humoreska z życia amatora-myśliwca).

Muszę się przyznać Sz. Państwu, iż jestem zapalonym myśliwym — amatorem, a sądzę, przyznają mi S. Czytelnicy, że jest to pewną zaletą, jak zresztą i inne tego rodzaju amatorskie imprezy.

Ja osobiście byłbym również ucieszony tym darem Bożym, którym mnie Opatrzność obdarzyła, gdyby nie prześladujący mnie stale pech...

Pech ten w pierwszym rzędzie zaznaczał się tem, że mimo celnego oka, jakie bezsprzecznie posiadam, nie udało mi się trafić nigdy marnego zająca, co mnie zawsze irytowało, a kolegom sprawiało tyle uciechy.

Całe szczęście w nieszczęściu było, że nie dawałem za wygraną i wkrótce wpadłem na genjalną myśl, która wedle mych obliczeń miała mi sprawić należytą satysfakcję wobec kolegów i rehabilitować mój amatorsko-myśliwski honor.

Nic nikomu nie mówiąc, porozumiałem się z pewnym gajowym, który chował kilka młodych zajęcy, aby tenże sprzedał mi je i następnie w oznaczonym dniu i miejscach uwiązał takowe do krzaków kapusty itp.

Za trochę drobnej monety miałem sekret zapewniony.

Tak ukartowawszy akcję bliskiego polowania przy zapewnieniu sobie bezwzględnego sukcesu, nie omieszkałem zaprosić kolegów, którzy, ma się rozumieć, zaproszenie przyjęli z ochotą, a nawet obiecali w danym dniu po mnie przyjechać.

Zacząłem tedy przygotowania, a więc wysmarowałem swą pyszną lankastrówkę, sprawiłem sobie specjalny garnitur myśliwski, do plecaka naładowałem potrzebną ilość naboi, zaopatrzyłem w potrzebne prowianty, które ukoronowałem flaszką starej madery oraz paczką doborowych cygar.

Gdy nadeszła godzina, nie mogłem się formalnie doczekać mych przyjaciół, przeto wyruszyłem naprzeciw i tak uszedłszy pół kilometra, ujrzałem nadjeżdżającą brykę i nie omyliłem się, byli to moi przyjaciele zaopatrzeni w przybory myśliwskie jak się patrzy.

Z niemałem zdziwieniem zobaczyłem gdy się ekwipaż zbliżył, że w zmowie będący koledzy, nie wiem, czy chcąc mi sprawić niespodziankę, czy też przeciwnie, dość, że przywieźli ze sobą niejaką pannę Uherską — wprawdzie moją dawną sympatję, ale zawsze kobietę, a Sz. Państwo chyba nie wiedzą, co znaczy dla myśliwego spotkać gdy wychodzi na polowanie pierwszą kobietę!... wszak to nieomylny pech....

Czułem przytem, że chyba umyślnie zabrali ją, aby moje dotychczasowe niepowodzenia pogłębić, — lecz mówi się trudno! — i ja tak sobie powiedziałem, stłumiłem swoje niezadowolenie i po bardzo napozór uprzejmem powitaniu się i po wypowiedzeniu pod adresem p. U. kilku komplementów, ponieważ moje miejsce było zajęte przez nadprogramowego gościa, musiałem jak prawdziwy dżentelmen usiąść na koźle.

I już przy wsiadaniu okazały się moje obawy niepłonne, bo oto proszę Państwa, gdym się rozmachał przy wsiadaniu na kozioł, pękają mi na samym kolanie moje nowe spodnie...

Towarzystwo wybuchło huraganowym śmiechem, gdy mnie się na płacz zbierało, nadrobiłem jednak miną, a że do domu było wracać zadaleko, zakryłem dłonią kolano i tak dojechaliśmy do sąsiedniego miasteczka, gdzie u znajomego krawca przebrałem się w inny garnitur i stąd już piechotą udaliśmy się do miejsca przeznaczenia.

Byliśmy już bliscy celu, gdy oto na skręcie drogi ukazała się sylwetka żandarma.

— Prezentuj broń! — zażartował jeden z kolegów

— I gotuj karty! — zakonkludował drugi.

W tej chwili niestety za późno przypomniałem sobie, że przy przebieraniu zapomniałem w tamtym garniturze swą kartę...

Po zwierzeniu się kolegom z moim kłopotem, ci na poczekaniu znaleźli wyjście:

— Wiesz co Jasiu, niema innej rady, masz tu nasze torby i udaj naszego służącego, a gdy żandarm odejdzie, wejdziesz na nowo w swe prawa.

Czasu do namysłu nie było wiele, zresztą propozycja wydała mi się dobrą, zatem pozabierałem wszelkie przedmioty od mych przyjaciół i wnet usłyszeliśmy:

— Przepraszam panów, proszę okazać karty myśliwskie!...

Przyjaciele uczynili zadość życzeniu, wtem pada zapytanie:

— A panowie macie jeszcze jedną strzelbę?

— Ach tak — wyręczył mnie jeden z przyjaciół — to tylko zabraliśmy gwoli wypróbowania jej celności, gdyż mamy zamiar następnie zakupić ją od jednego z naszych znajomych, a ten tam, to nasz stary Jan służący, zaś ta pani to panna Uherska, ot tak sobie z nami dla przyjemności.

Bardzo ładnie zawyrokował mąż prawa, wszystko w porządku, ale możebyście panowie zezwolili, i jabym sobie z nimi zapolował, bo i tak służba mi się kończy, a zapewniam, że nikt panom nie wypróbuje lepiej rezerwowej strzelby odemnie.

Ja w roli służącego nie mogłem zaprotestować, moi przyjaciele zezwolili, gdyż jak następnie wymawiali się, nie mogli inaczej postąpić.

— Owszem, bardzo nam przyjemnie, jeżeli tylko pan wachmistrz łaskaw, prosimy bardzo.

Tak! Im było przyjemnie, ale co się w mojej duszy działo, nie życzyłbym nikomu z moich wrogów.

Oprócz torb moich kolegów, musiałem przyjąć jeszcze torbę żandarma i pomyślcie państwo, to wszystko w dodatku w oczach panny Uherskiej musiałem jak dziki osioł dźwigać krok w krok za moimi chlebodawcami z Bożej łaski i patrzyć, jak będą strzelać moje zające przygotowane przezemnie i li tylko dla mnie.

Nie uszliśmy następnie i dwie staje, gdy wyłonił się pod krzakiem jeden szarak; nastąpiło zaraz pif! paf! i już było po nim, następnie tak, że ofiarą padł drugi, trzeci, czwarty i piąty... zaś mojem zadaniem było biegać i zbierać owoce niezasłużonych obcych triumfów.

Pot się lał ze mnie strumieniami, gdyż myśliwcy, zapaliwszy się łatwą zdobyczą, biegali jak opętani po polu, a ja obarczony oprócz innych rzeczy pięcioma wypasionemi u gajowego zającami, musiałem im nadążać, chwilami zbierała mnie ochota rzucić wszystko i powiedzieć im prawdę w oczy, ale wstrzymywała mnie obawa przed karą.

Wkońcu uchodziwszy się dowoli, całe towarzystwo zabrało się do wypoczynku, jak mówili, dobrze zasłużonego. Kazali sobie podać rzeczy i za chwilę musiałem jeszcze być świadkiem, jak te smoki babilońskie zajadali się przygotowaną przeze mnie szynką z kiełbasą, popijając często wytrawną maderą i rzucając na mnie od czasu do czasu ironiczne spojrzenia, na mnie, który w swej wiernie spełnianej roli stałem opodal na boku, jak na służącego przystało.

Po ukończonej uczcie towarzystwo pozapalało sobie moje doborowe „Kuba“, a ja tymczasem musiałem zadowolnić się resztkami pozostawionemi, gdyż i mnie kiszki marsza grać zaczynały porządnie.

Nareszcie musiałem pozbierać rzeczy i zabite zające i nieść je aż do pobliskiego miasteczka, gdzie towarzystwo wśród wzajemnych gratulacyj rozdzieliło między siebie łupy, nawet pannie Uherskiej ofiarowali jednego zająca na pamiątkę, tak, że dla mnie nie została ani figa.

Od tego czasu znienawidziłem moją sympatję, i zaprzestałem raz na zawsze amatorskiego polowania, tak, że dziś powiadam „niema złego, któreby nie wyszło na dobre“.

G. Wirstnik.



Myśli.

Gdy się pies zaniedbuje w urzędzie szczekania,
Szkoda dlań i jednego skromnego śniadania.

☆

I zimie nie do twarzy, gdy się w wiosnę bawi
I sędziwej staruszce, kiedy głupstwa prawi.

☆

Na to się nos paradny o dwóch dziurkach trzyma,
By rozróżnić potrawę, czy się psuć zaczyna.

Piotr Wenc.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

V.

Nazarejski Jezus Chrystus.

Suchy kaszel, rozlegający się stokrotnem echem po alei, zbudził budowniczego ze snu. Był niezadowolony, że ściągnięto go z objęć uroczej dziewicy w ponurą aleję, gdzie zamiast miriarda rozkosznych świateł, przedziera się tylko skąpy blask z Antonji, a w miejsce ponętnych woni indyjskich kadzideł, drażni powonienie zsiadła żywica pinij i swąd dymiących pochodni...

W załomie alei ukazał się ów nieszczęsny tetrarcha galilejski, któremu Chrystus odmówił leczenia.



Gromada ludzi posuwała się naprzód.

Krążyły o nim wieści, że podobno chcąc posiąść winnicę Essejczyka Szymona z Kafarnaum, wytoczył mu zdradziecki proces o bunt przeciw rządom, zaco Szymon skazanym został na karę śmierci i konfiskatę całego mienia.

Zalany krwią pod razami kamieni, rzucił przekleństwo na życie tetrarchy, który odtąd tknięty chorobą szukał pomocy u lekarzy z północy, później u Chrystusa, a wreszcie w Jerozolimie, pod wskazówkami Ponckiego Piłata.

Atoli, gdy lekarze Palestyny okazali się bezradni, wobec złośliwej choroby rozesłano gońców do Syryi i Egiptu z ogłoszeniem, że tetrarcha galilejski ofiarowuje za uleczenie go: całe obszary urodzajnej ziemi, prócz tego osobne wynagrodzenie w złocie i o ile lekarz jest żydem lub przeszedłby na wiarę Izraela, także córkę swą Zarę za żonę.

Ogłoszenie przynęciło wielu znanych i nieznanych terapeutów, różnych magów i oszustów, z których wielu do łoża chorego nie dopuszczono; wielu ustąpiło na sam widok starca, a usiłowania garstki pewniejszych siebie spełzły również na niczem. Całą nadzieję pokładano jedynie w egipskim mędrcu, który pokusił się zwalczyć istotę choroby już nie tyle dla nagrody, ile dla chwały własnego imienia. Człowiek ten, cierpliwy jak pająk, przesiadywał dniami i nocami u łoża chorego, pogłębiając równocześnie pożółkłe testamenty praojców lekarzy, których światłe wskazówki posłużyć miały do ujarzmienia złośliwej choroby. Jednakże zagadki, tkwiące w organizmie starca, mieszały winiki badań tak dalece, że zapał cierpliwego mędrca zwolna począł ostygać, tembardziej, że stosowane najpewniejsze środki, znane już od lat tysiąca, nie odniosły skutku.

Powędrowały zatem cenne papyrusy do sakwy podróżnej, a lekarz, nim ostatecznie uwierzył we własną niemoc, zbadawszy ogrody Piłata pod względem zdrowotnym — zarządził przechadzki.

Odtąd leczono go wyłącznie ożywczą wonią pinij i ruchem, w mniej upalne dnie lub w nocy, gdy chory spać nie mógł, a zawsze pod okiem uroczej Zary. Lecz i ten ostatni środek zawiódł: Poczęły starca napadać ataki kaszlu, który owej nocy zegnał sen z powiek Łazarza.

Zbity więc z tropu egipski mędrzec, a zarazem znużony szeregiem nieprzespanych nocy, polecił ułożyć chorego na murawie, poczem odciągnął Zarę na stronę, tuż w pobliżu łuku i rzekł:

— Wiedza moja stoi poniżej zagadki... chorego uleczyć nie zdołam.

Błagalne spojrzenie wpiło się w oblicze lekarza i chwyciły go kurczowo jej ręce.

— Panie, miej cierpliwość i miłosierdzie... wytrwaj!

— Nie mogę. Uwierz mym słowom, iżem wyczerpał wszystko i wszystko na darmo....

— Spróbuj raz jeszcze... Nie gaś w mem sercu tej iskry nadziei, nie budź rozpaczy... wszak wiesz co to miłość...

— Tak, wiem i czuję twą boleść zarówno...

— Więc zostań i wytrwaj do końca... Dostaniesz rentę w dożywocie, odstąpię ci moje winnice, a jeśli Bóg ojców naszych wejdzie w duszę twoją, najwierniejszą ci żoną będę...

— Żal mi cię, gwiazdo Hesperusa — odrzekł na to lekarz. — Niechaj rozum weźmie górę ponad twą rozpaczą... Tu potrzebaby cudu, a jeśli bogowie śmierć mu przeznaczają, gdzież poszukam rady?

— Niech ci na to odpowie współczucie. Wszakżeś i ty jest człowiek, którego dotknąć może taka sama boleść!

— Nie przeczę... Są jednak na świecie smutki, którym zaradzić może wytrwała cierpliwość; a tyś jest jedną z pośród tysięcy cierpiących, których rany czas zwolna zagoi... Ja wracam do Egiptu.

— Miej litość... nie odchodź!

— Muszę pani... Są tam chorzy, dający więcej nadziei, zaczem słuszna jest, abym dla nich stosował swą wiedzę.

Z ciemnych oczu Zary poczęły sączyć się łzy.

— Odbierz wszystko co posiadam, a spróbuj raz jeszcze — prosiła żałośnie.

Lecz mędrzec odmówił:

— Złoto swoje zachowaj, albowiem nań już zapadł wyrok, którego moc moja nie zmieni... Niechaj Bóg ojców twoich roztoczy nad tobą opiekę...

Dziewica na pół bezwładnie osunęła się na pień pinji, z czego skorzystał lekarz i oddalił się.

Tymczasem budowniczy, który z pod sennych wrażeń zdołał już ochłonąć, a będąc świadkiem całego zajścia, nie mógł usiedzieć na ławie. Żywo uprzytomnił sobie czarowną i wiotką postać tej dziewicy, pod którą podszył się był szatan przed chwilą; cudną twarzyczkę, okraszoną jasnością swobody i ów czar uczucia, jaki go przejął w chwili, gdy wręczała mu żonkilę. A teraz widzi ją znowu, wspartą o pinję, bezwładną, oczekującą zmiłowania lekarza, chociaż kroki jego dawno już ucichły.

I zagrało mu w duszy współczucie jak na lutni, błysnął słodki płomień, silniejszy niż u stóp posągu i zgoła inny od tego, jaki tchnął weń szatan. Szczęśliw

był ze sposobności, którą mu Bóg zsyła, aby boleść jej ukoił i ożywił zgasłą w niej nadzieję, przez Tego, który ufać kazał. Przez myśl bowiem przeszedł mu Chrystus, mający moc czynienia cudów i wrażliwe serce na bole bliźniego, a zwłaszcza, jeśli ból ten powstaje przez miłość dla ojców.

Podszedł więc ku niej: Nie było w jej obliczu miejsca na zdziwienie, i że się przed nią stawia mężczyzna wśród nocy, a tylko cały grom smutku i bezrady. Jął więc pocieszać:

— Nie trwóż się Zaro... Jam słyszał co mówił lekarz, ale słowa jego to jeszcze nie wyrok!

— Wszyscy go opuścili — mówiła bezdźwięcznie.

— Miej ufność... Nie wszyscy! Jest jeszcze jeden Lekarz-Cudotwórca, który niemoce ludzkie leczy za dotknięciem — nie trwóż się. Znam Go tak dobrze, jak siebie samego i wiem, że serce ma pełne litości na troski i bóle...

— O kim mówisz, Łazarzu?

— O Przyjacielu mym Chrystusie, rodem z Nazaretu.

— I tego proszono — odrzekła dziewica. — To oszust... szarlatan! A jeśli na Nim kończą się lekarze, śmierć mojego ojca pewniejsza od słońca!

— A jabym rzekł przeciwnie: Jeśli na Nim kończą się lekarze, życie ojca twojego jest pewne jak jutro! I jeszcze jeden argument: Jeśliby był oszustem, nie szłyby za Nim rzesze ślepych, trędowatych, chromych i nie wołaliby tak zdaleka: Jezusie, Synu Dawida, zlituj się nademną!

— A On wszystkich uzdrowił, okrom ojca mego... Dla wszystkich miał litość, tylko nie dla niego?

— Nie wierzę, iżby u was był Chrystus! — odparł mistrz stanowczo.

— Więc spytaj o to ludności z Kafarnaum... Były tam wtedy rzesze nad brzegiem jeziora, byli przedstawiciele Synagogi i ludzie uczeni, tłum prosty, niewolnicy i wszystko co żyło. On stał na skale i głosił im miłość, — był piękny i słowa Jego chwytały za serce, to prawda; lud ujarzmiony płakał ze wzruszenia, a jam myślała, że człowiek, który każe kochać i kochać bez końca, sam będzie kochać tak, jak nakazuje!

— To On był w istocie — rzekł Łazarz wzruszony.

— Więc przyznajesz? A cóż odpowiesz na to, iżem Go błagała o litość nad ojcem, o to miłosierdzie, które mu On służy, a miasto pomocy odwrócił się tylko, jak gdyby zimny i głuchy na moje błaganie! Jak łatwo mógł wtedy zasłużyć na wdzięczność, mógł zrobić mnie swą niewolnicą, a ojca poddanym, mógł mieć władzę w Galilei i ochronę prawa i ludy nasze mógł mieć pod stopami... Ale że zdeptał to prawo miłości, wzniecił w mej duszy nienawiść ku sobie i od tej chwili jest u mnie oszustem godnym potępienia!

—W tem tkwi jakaś zagadka — odrzekł budowniczy. — Oddal od siebie tę gorycz, jak długo rzecz się nie wyjaśni, bo wiem, że Chrystus miłuje wszystkich jednakowo i chętnie spieszy z pomocą, gdzie trzeba... W Sabath dowiem się wszystkiego.

Ale danem mu było wcześniej sprawdzić tajemnicę, o której Chrystus wiedział i lud okoliczny. Wypowiedziawszy żal swój zamilkła dziewica, zamilkł też i Łazarz. Poprzez ciszę słychać było zgrzyt żwiru, miażdżonego drewnianymi sandałami i echo tego zgrzytu, odbijające się o marmur pałacu. Mimowoli spojrzał budowniczy w otwór łuku wiodącego na ulicę. Z poza pistacyj, rosnących w około gmachu Sanhedrynu, na szlak ku Betanji, wyszła gromadka ludzi, od której pełniący straż centurjon odebrał legitymacje.

Księżyc rzucał srebrzyste snopy światła na ów szlak, biegnący wzdłuż pałacu hen ku polom kaktusów i Górze Oliwnej. A gromadka ludzi znużonych drogą i okryta kurzem zwolna posuwała się naprzód.

Promienna radość pokryła twarz budowniczego: ujął rękę Zary i wskazał jej ludzi podchodzących czemraz bliżej łuku.

— To On... Chrystus! — zawołała. — Widzisz! Znam Go doskonale! — I poczęła mierzyć Go od stóp do głów okiem pełnem goryczy.

Był to Człowiek młody, lat około trzydziestu dwu. Postawę miał powabną, łączącą w sobie czar wszystkich doskonałości i chód gibki, elastyczny. Pociągłą twarz rzeźbiły regularne rysy uszlachetnionego typu semickiego, w których uzewnętrzniały się głębie Jego duszy, z taką słodyczą, że niepodobna było patrzeć w nią bez zachwytu. Jasny zarost okalał mu twarz pięknym łukiem, powieki zdobił gęsty rząd rzęs, z pod których patrzały na świat duże brązowe oczy, wypełnione melancholijnym smętkiem. Nadziemska dobroć, gotowość do poświęceń, pokora ,uległość i cichość, były cechą tych oczu. A poprzez anielskie własności spojrzenia przedzierała się majestatyczna potęga woli i cudowna moc ujarzmiania. Całość twarzy, uszlachetnionej przez grecki profil, zdobiło rzymskie czoło bez zmarszczek, na którem osiadła niezrównana pogoda i jasność umysłu, — oraz jedwabiste kędziory włosów ciemno złotawej barwy spadające Mu na ramiona.

Był w oliwkowej hitichin, z przerzuconym przez ramiona brązowym płaszczem, rozpowszechnionym wśród sfery Izraela. Towarzyszyli Mu dwaj synowie Zebedeuszowi i Szymon Galilejczyk, zwany Piotrem.

— Wielcem Go umiłował — rzekł Łazarz, upojony widokiem Chrystusa. — Jest miły jako róża z doliny Suronu, wdzięczny w każdym ruchu i słodki w spojrzeniu, a przecz ty Go nienawidzisz?

Zamiast odpowiedzi, wskazała mu leżącego na murawie starca, którego piersią wstrząsał suchy kaszel.

— Ufaj dziewico! Odpowiedź na to zaraz ci przyniosę! Wiedz, że w mej duszy tyle jest nadziei, że będąc górą, niebo by przebiła! — To rzekłszy, wyszedł naprzeciw gromadki.

Jezus rozwarł ramiona na przyjęcie przyjaciela; towarzyszący Mu uczniowie odsunęli się skromnie na ubocze. Po wspólnej zamianie serdecznych pozdrowień usiedli na schodach rzymskiego urzędu, poczem Łazarz zaczął:

— Dokąd idziesz Jezusie?

— Do Betanji. Trzeba, abym wysłuchał jednego z pośród miljona...

— Ah! Masz na myśli slepego Barucha, który się modli i czci Cię jak Boga?

— I któremu dla mnie Elizeusz pogruchotał kości — odrzekł wzruszony Chrystus. — Ale otworzą się oczy jego w Imię Moje i z łoża niemocy dźwignę mu oblubienicę!

— Córkę plugawca Elizeusza?! A wszakże on Cię oskarża co dzień w Sanhedrynie i plugawi Imię Twe Jezusie!

— Przebaczam mu Łazarzu — odrzekł Prorok słodko. — I tobie bym przebaczył, albowiem zaprawdę ci powiadam: Gdyby nie szlachetna córa chorego tetrarchy — i tybyś zniesławił Syna Człowieczego!

— Czemu Jezusie? Wszakżem postanowił nie pójść do Annasza i nie poddać hańbie Twojego Imienia, dla odrobiny władzy i skrawka winnicy!

— Ale uczyniłeś to dla grzesznicy, którą syn Setha dla ciebie sposobi...

— Straszysz mnie tylko — śmiał się budowniczy. —Nie nęcą mnie grzesznice choćby najpiękniejsze, a tembardziej ta, którą syn Setha dla mnie przysposobił!

— A o śnie dzisiejszej nocy zali zapomniałeś? Zaprawdę ci powiadam, rzekłbyś to na jawie: Daj mi ją synu Setha! I stałbyś się gorszym jeszcze niźli Elizeusz, który ciemno ma w duszy i ciemno w rozumie...

— Jezusie najdroższy — szepnął budowniczy, — broń mnie, jeślim otoczon zdradą i jeśli siecie obłudy na mnie zastawione...

— Miej tylko Imię Moje zawsze na pamięci... Ono da ci światło, złagodzi pokusy, nim zwalczysz wpływy wszelakich demonów, albowiem Jam jest potężniejszy niż moce piekielne!

— Wierzę... — odrzekł Łazarz — potem objął szyję Proroka i całował usta Jego. W oczach błyszczała mu wdzięczność i cały ogrom uczuć, nurtujących duszę. — Jezusie, Ty znasz serce moje... A jakoś rzekł: Szlachetna jest córa tetrarchy, którą ujrzałem wczoraj po raz pierwszy i znów dziś we śnie... Bezbrzeżna boleść serce jej przenika... i

Chciał dalej mówić, lecz Prorok mu przerwał:

— Wstrzymaj się chwilę, mój drogi Łazarzu... Zali wiesz, kogoś widział we śnie?...

— Ją... Zarę widziałem, promienną jak słońce...

— Złuda... Widziałeś kusicielkę twarzą jej podobną, która cię jeszcze na jawie pokusi... A zaprawdę! Ty pójdziesz za nią...

— Nie pójdę Chrystusie... Wszak Imię Twoje będzie mnie broniło...

— I przebaczało ci będzie Łazarzu, ilekroć nim pogardzisz dla owej grzesznicy.

— Aliści, Tyżeś mocen usunąć pokusy! Pogardzam synem Setha, nie chcę jego podarków, ani odeń żony! Wolę Tobie powiedzieć: Zlituj się nademną, albowiem Ty wierzyć każesz i miłować każesz. A jam umiłował Zarę całą mocą serca; życie przy niej tak barwne, jak promienie tęczy... wszystko dokoła śmieje się srebrzyście i czarem mnie poi, Chrystusie... I jam uwierzył, iże Ty jeden uzdrowisz jej ojca... Ty słodki, litościwy, który prośby niczyjej nigdy nie odtrącasz...

Objął silnie szyję Przyjaciela i wpatrując się ufnie w oczy Jego, czekał odpowiedzi. Atoli Chrystus milczał; pierś Mu falowała silnie, oblicze pobladło.

— Czemu milczysz Jezusie?... Rzeknij słowo, a uzdrowion będzie tetrarcha!

— Nie mogę — szepnął Prorok po chwili. — Przelał krew niewinnego i obarczon klątwą, a w duszy ani na chwilę nie żałował zbrodni...

— Aleś Ty mocen skruszyć go Jezusie! Uczyń to dla mnie przez miłość dla Ciebie, a przez jej szlachetność, zlituj się Chrystusie...

— Krew Szymona jeszcze nie pomszczona! Nie masz w nim żalu, ani miłosierdzia...

— A jednak... zlituj się Jezusie przez wiarę w mem sercu, przez miłość i ufność się zlituj... Przebacz mu, albowiem do kogoż się zwrócę, jeśliś Ty jest jeden?

— Ja mu przebaczam — rzekł Prorok wzruszony. — Ale to nie dość. Potrzeba, iżby Ojca niebieskiego przebłagał za zbrodnię i pokutował. A zaprawdę powiadam ci, iże łacniej przebrnąć morze, niźli skruszyć to serce, twardsze od granitu!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Poradnik gospodarczy.

Domy ludowe stanowią dzisiaj ważny czynnik oświatowy, ale nie są jeszcze tak rozpowszechnione, jakbyśmy sobie tego życzyli.

Są to ogniska myśli twórczej społeczno-państwowej i kulturalno-zawodowej i gospodarczej. Powinny one zespalać różne zrzeszenia społeczne, i stwarzać naturalne warunki wzajemnego współdziałania tak między organizacjami jak i zrzeszonymi w nich członkami. Dobrze pojęty dom ludowy o wzorowej organizacji to największe dobrodziejstwo całej okolicy. Jeżeli chcielibyśmy poznać historję jego, to musimy szukać początku w słynnej karczmie, która ongiś pierwsza była ośrodkiem życia społecznego naszego wieśniaka.

Często nie zastanawiamy się nad tem wyrazem „karczma" bliżej i rozumiemy ją jako rozsadnik pijaństwa ze wszystkimi skutkami zgubnymi, a zapominamy, że ta osławiona karczma miała również wiele stron społecznie i narodowo dodatnich. Nie chcę bynajmniej bronić tej instytucji przeszłości, ale chcę dać tylko obraz, jak i gdzie dawniej skupiało się życie naszego ludu i jakie ewolucje przechodził ten pierwszy „dom ludowy". W karczmie gromadziła się ludność tak miejscowa, jako i okoliczna, skupiając prawem zwyczajowem życie okoliczne. Tu otrzymywano najnowsze wiadomości, tu zażywano uciechy, a nawet odpoczynku, przeżywano zbiorowe zabawy z okazji uroczystości rodzinnych (wesel — chrzcin), tu odbywano narady i pogawędki wspólne. Ale karczma miała również tak duże wady, że do dziś najczęściej je jeszcze widzimy, tak głęboko wryły się w naszą pamięć i dlatego ta instytucja nie zostawiła u nas żalu po sobie, lecz przeciwnie, po jej zniesieniu, ludność odczuwa pewną ulgę.

Zniesioną na wsi karczmę starali się ludzie zastąpić inną instytucją, dlatego zakładano zrzeszenia społeczno-organizacyjne jak: kółka rolnicze, kasy Rajfajsena, mleczarnie, spółdzielnie spożywców, koła młodzieży, straże ogniowe i t. d. i t. d.

Zrzeszenia te przyczyniały się w dużej mierze do podniesienia tak ekonomicznego jak i kulturalnego naszego wieśniaka i uczyniły zeń obywatela myślącego niezależnie, nauczyły go zgodnego współżycia między sobą, opartego na świadomej i planowej samopomocy i współpracy gromadzkiej. Połączone w jeden zespół powyższe zrzeszenia utworzyły dom ludowy.

Działalność domu ludowego obejmuje całą najbliższą okolicę, zaś będąc siedzibą a jednocześnie wspólną własnością różnych instytucyj społeczno-kulturalnych i gospodarczych, skupiają ludność przynależną organizacyjnie najrozmaiciej. Tu więc jedni i ci sami ludzie występują w coraz innym charakterze — w zależności od tego, którą organizację reprezentują. Dom więc ludowy powinien być jakby polem doświadczalnem, gdzie można ocenić wartość i celowość poczynań społecznych, podejmowanych pod różnemi postaciami.

Domy ludowe mieszczą się w budynkach specjalnie w tym celu budowanych i wznoszone funduszami miejscowymi przy poparciu ludności miejscowej.

Pomieszczenia dla poszczególnych organizacyj powinny być dokładnie obmyślane i przewidziane, stosownie do charakteru i zakresu ich pracy.

Dom ludowy nie powinien być bezpański, ale powinien mieć odpowiedzialnego gospodarza, którym może być jedno z należących do niego towarzystw. Gospodarze powinni się zmieniać po pewnym okresie, tak, iż w przeciągu pewnego czasu wszystkie organizacje należące do Domu ludowego piastowałyby godność gospodarza.

Ważną jest rzeczą, aby wszystkie organizacje należące, czuły się, jak u siebie w domu, aby tu panowała zasada równości w prawach korzystania z dobrodziejstw urządzeń i konieczność ponoszenia ciężarów, wynikających z przyjętych zobowiązań członkowskich.

Domy ludowe powinny być ogniskami, w których społeczność wiejska wytworzy szlachetną braterską samopomoc, a przez to przygotuje gmach dla siebie lepszego jutra.

Jan Matysik.

Poradnik lekarski.

Odmrożenie. Do szczególnie częstych dolegliwości, powstających w zimie, należą lekkie formy odziębień rąk, nóg, uszu, noszące powszechną nazwę odmrożeń. Nieodzownym warunkiem, zapobiegającym odmrożeniu, jest noszenie wygodnego, nieprzemakalnego obuwia. Najcieplejsze owijanie nogi nie pomoże, skoro obuwie uciska. Uciskane miejsca są niedostatecznie zaopatrzone w krew i wskutek tego mniej odporne na zimno. Specjalnie wystrzegać się należy wychodzenia na ulicę z rękami źle wysuszonemi po umyciu. Doskonale zapobiega odziębieniu lekkie nacieranie rąk, nosa i uszu wazeliną lub innemi czystemi tłuszczami. Silniejsze odmrożenia, przy których występują pęcherze i owrzodzenia, należy powierzyć lekarzowi. W tym wypadku polecić można gorące kąpiele (45 stopni Celsiusa) z kory dębowej. Do kąpieli dodaje się jedną łyżkę stołową wysuszonej kory dębowej na litr wody. Po kąpieli miejsca pokryte wrzodami oględnie się wysusza, smaruje maścią ichtjolową i bandażuje. Kąpiele należy brać bezpośrednio przed ułożeniem się do snu. Wśród ludności istnieje domorosły sposób leczenia odmrożeń przez okładanie miejsc porażonych klejem stolarskim. Przestrzegamy jak najbardziej przed tym środkiem, gdyż klej bardzo często zawiera laseczniki tężca, może więc sprowadzić stokroć gorszą chorobę.

Anemja pernicezyjna (zgubna niedokrwistość). Choroba ta początkowo podobna jest zupełnie do blednicy, lecz zachodzi przeważnie u osób w wieku średnim. Różni się od blednicy tem, że podczas, gdy w blednicy, jest ubytek barwnika krwi, to w tej chorobie następuje znaczne zmniejszenie czerwonych ciałek krwi, przez co organizm bywa nadzwyczaj dotkniętym. Objawy: nadzwyczajna bladość, słabość mięśni, przeszkody w oddychaniu, ból głowy, mdłości i brak apetytu i to tak wielki, że nieraz chorzy nie mogą łóżka opuścić. Anemja trwa niekiedy i lata całe. Leczenie: wypłókiwanie żołądka i kiszek, oraz używanie pokarmów roślinnych czyli wegetarycznych.

Biegunka czyli choleryna. Najcięższą formą kataru kiszkowego jest powtarzająca się wyłącznie w gorącem lecie, biegunka. Objawy: silne wonitowanie, rozwolnienie i boleści brzuszne. Leczenie: całkowite wstrzymywanie się od pokarmów z wyjątkiem zup mącznych, leżenie w łóżku i ciepłe okłady. Surowych owoców i wody nie należy latem używać razem.

KRONIKA.

Pogoda w roku 1928. Według przepowiedni meteorologów niemieckich rok 1928 będzie więcej suchy i chłodny, aniżeli ciepły i nie bardzo urodzajny. Zima będzie początkowo przykra, choć sucha, a od połowy lutego do końca całkiem mokra. Miesiąc ten będą cechowały wielkie ulewy, które poczynią duże szkody. Marzec ma być ciepły, kwiecień początkowo suchy, później zimny. Pierwsze dni maja będą ostre i zimne, tak, że kwiaty owocowe i plony znajdą się w niebezpieczeństwie przemarznięcia. W lecie będzie wiele opadów, mimo to sianokosy i żniwa udadzą się. W jesieni spadną znowu obfite deszcze i chwyci wczesny mróz. W drugiej połowie października nastanie piękna pogoda aż do adwentu. Zima przyjdzie gwałtownie w pierwszych dniach grudnia, będzie mroźna i przyniesie wiele śniegu.

Marszałek Piłsudski w Krakowie. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia marszałek Piłsudski w przejeździe do Krynicy, dokąd udał się z najbliższą rodziną na odpoczynek, zatrzymał się na krótko w Krakowie. Marsz. Piłsudski przybył do Krakowa pociągiem pospiesznym o godz. 10 wieczorem, a mając jeszcze niemal godzinę czasu do odjazdu pociągu krynickiego, wyszedł z córeczką starszą Wandzią na przechadzkę po mieście. Ulicą Florjańską doszedł do rynku, gdzie córeczce, poraz pierwszy oglądającej Kraków, pokazał kościół Marjacki i Sukiennice. W jednej chwili gromadzić się zaczęła publiczność, która wśród żywych objawów radości wznosiła gorące okrzyki radości na cześć niespodziewanego gościa. Marszałek Piłsudski skręcił w ulicę św. Jana, przez podsienia bramy Florjańskiej przeszedł na planty, a stąd na dworzec. Niebawem wraz z żoną i córkami odjechał do Krynicy.

Świętokradztwo. W środę rano dnia 28 grudnia dokonano niezwykle śmiałego świętokradczego włamania do katedry św. Jana w Warszawie. Włamanie spostrzegł rano zakrystjan, który jak zwykle przyszedł o 7 rano otworzyć bramy świątyni. Zakrystjan zauważył, że drzwi wejściowe były nawpół uchylone. Rozejrzawszy się po świątyni, zakrystjan stwierdził ślady świętokradztwa. Na podłodze leżało pięć rozbitych puszek do ofiar, 4 żelazne i jedna drewniana. Świętokradcy obrabowali kaplicę cudownego Pana Jezusa, znajdującą się z lewej strony wielkiego ołtarza. Zabrali umieszczone obok figury Chrystusa wota wartościowe, przeważnie złote i nie wahali się nawet ściągnąć pierścieni z palców figury Pana Jezusa. Świętokradcy rozbili ponadto gablotki, mieszczące relikwje św. Cyrjaka, św. Justyna, św. Małgorzaty, św. Wojciecha i innych, przyczem pozabierali kosztowne obramowania gablotek. Świętokradcy usiłowali również obrabować kaplicę Matki Boskiej po prawej stronie ołtarza, jednakże starodawny zamek okazał się niezwykle mocny i dzięki temu kaplica nie została okradziona. Rozbite przez złoczyńców puszki nie zawierały dużych sum pieniężnych, albowiem z polecenia władz kościelnych opróżniono je przed świętami. Należy zaznaczyć, że przed dwoma miesiącami włożył ktoś do futerału okularów ks. Niemiry karteczkę z ostrzeżeniem, iż planowane jest świętokradztwo. Na skutek tego kosztowne wota pozabierano z kaplic do skarbca katedralnego. Policja wszczęła energiczne śledztwo celem wytropienia świętokradców.

Katastrofa automobilowa. W ubiegły wtorek w godzinach wieczornych wyjechali z Warszawy samochodem z proboszczem kościoła św. Anny, ks. Kaimem, księża Pogorzelski i Ożarowski, udając się w odwiedziny do proboszcza w Radziejowie, ks. Koranawskiego. Koło Nadarzyna samochód skręcił nagle w bok i wpadł

do rowu. Ks. Kaim i szofer ponieśli śmierć na miejscu, inni zaś pasażerowie zostali ciężko ranni; auto jest roztrzaskane. W wyniku przeprowadzonego śledztwa okazało się, że powodem katastrofy była ślizka jezdnia. Szofer, wymijając wóz, nie mógł auta zatrzymać, które, nie zmniejszając szybkości, wpadło do rowu.

Salomonowy wyrok. Żargonowe pisma warszawskie podają o następującym salomonowym wyroku jednego z warszawskich rabinów: Do rabina Kanela przybyła tymi dniami para małżeńska z żądaniem rozwodu. Oskarżycielem jest mąż. Powód — jego żona nie chce piec chały (białej bułki) na szabas.

Żona: — Mąż nie chce mi dać na to pieniędzy.

Pojednanie wydaje się wykluczone. Obie strony domagają się rozwodu.

Rabin: — Macie dzieci?

— Dwoje.

— No, to musicie się spytać, czy zgadzają się na wasz rozwód.

— Ale one jeszcze nie mają rozumu; jedno liczy 8, drugie 6 lat.

Spokojnie odpowiada rabin: — To poczekamy, aż będą takie duże, iż będą mogły odpowiedzieć na tego rodzaju pytanie.

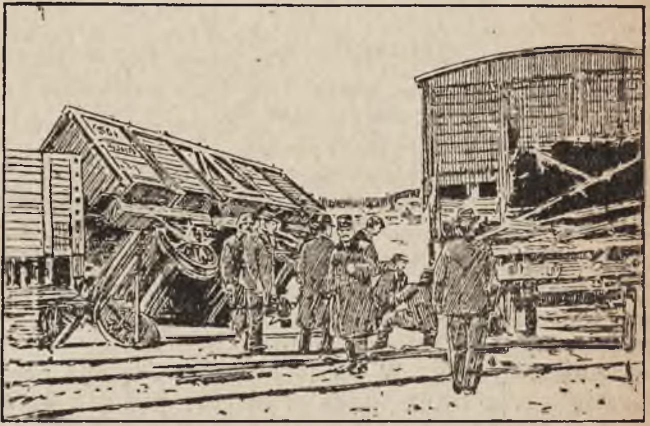
I na tem stanęło.

Walka z rozjuszonym dzikiem. We wsi Żulin gminy Świerze, pow. chełmińskiego, w biały dzień zjawiły się dwa dziki, szukając żeru. W drodze do wsi na skraju lasu spostrzegł ich pewien gospodarz, który dopadłszy najbliższe drzewo, wspiął się na niego i drżąc ze strachu, pewien czas na niem przesiedział. Dziki zaś, postawszy pod drzewem chwil kilka, ruszyły do wsi.



Na widok takich dwóch nieproszonych gości mieszkańcy, uzbrojeni w siekiery, drągi i widły rzucili się w pogoń. Zauważywszy ścigających, jeden z dzików zawrócił i skierował się do zagajnika w stronę wsi Ruda, a drugi przebieglszy koło kuźni przez całą wieś, wydostał się na pastwisko, gdzie nagle zapadł się w rowie napełnionym śniegiem. W tym momencie dopadł dzika jeden z pogoni, Pieniążek Józef, który począł go kłuć widłami. Widły zgięły się, a dzik obaliwszy Pieniążka, począł go tratować. Na pomoc powalonemu pospieszył znany z ogromnej siły Walczuk Franciszek z siekierą w ręku, którą począł walić dzika w łeb, a trzeci z pogoni, Derkacz Józef, zaatakował zwierza widłami z boku, jednak widły ześlizgnęły się i drugi śmiałek został momentalnie obalony. Tymczasem nieustraszony Walczuk, chwyciwszy dzika za ucho, walił siekierą. Rozjuszony dzik chwycił chłopa zębami za nogę, powalił i począł gryźć, wreszcie szybko zaczął uciekać, brocząc krwią w kierunku lasów Krzeszowskich. Zabiegł mu poraz drugi drogę Derkacz, lecz jedno trącenie łbem wystarczyło i ścigający zwalił się z nóg. Przerażeni tem zwycięstwem zwierza świadkowie obławy, nie mieli odwagi gonić. Jedynie Walczuk, krwawiąc, pobiegł za dzikiem w kierunku wsi Ludwinów, lecz opadł na siłach tak, że dzik zdołał się zaryć w gęstwinę lasów rządowych. Na placu walki pozostały cztery ofiary krwiożerczego dzika, z których Pieniążek ma rany nad biodrem i wyżej kolana, Derkacz Józef jest ranny w nogę, Derkacz Piotr uległ ogólnemu potłuczeniu, a Walczuk ma pogryzione ręce i nogi.

Katastrofa kolejowa. W nocy z dnia 25 na 26 grudnia o godzinie 11 wydarzyła się na stacji kolejowej Janinów, powiatu wieluńskiego, województwa łódzkiego, wielka katastrofa kolejowa. O godz. 10.45 wyruszył ze stacji Kalety w stronę Podzamcza pociąg towarowy. W tym samym mniej więcej czasie wyjechał z przeciwnej strony drugi pociąg towarowy, składający się z parowozu i 54 wagonów, naładowanych przeważnie węglem. Wskutek mylnego ustawienia zwrotnic doszło do zderzenia obu pociągów towarowych, będących w pełnym biegu. Wśród nieopisanego huku uległy roztrzaskaniu oba parowozy oraz blisko 20 wagonów kolejowych.



Z pod gruzów zniszczonych wagonów dały się słyszeć jęki ofiar służby kolejowej. Po upływie godziny przybył na stację specjalny pociąg ratowniczy; rozpoczęto przy świetle reflektorów poszukiwania i wydobywanie ofiar z pod zniszczonych wagonów. Wskutek katastrofy uległo poważnym obrażeniom cielesnym 5 osób. Rannych, wśród nich obu maszynistów, odwieziono do szpitala w Wieluniu w stanie ciężkim.

Tajemniczy koniec mordercy cara. Z Moskwy donoszą: W tych dniach znaleziono niejakiego Koluchewa, jednego z morderców cara, zamordowanego wraz z żoną w mieszkaniu. Wszystkie papiery zostały przez sprawców usunięte, pozatem nie tknięto niczego. O tajemniczem tem morderstwie krążą w Moskwie liczne pogłoski. Koluchew był poważnym członkiem partji komunistycznej, w ostatnich atoli miesiącach począł ujawniać sympatje dla opozycyjnego kierunku Trockiego, z którym wszedł w kontakt i otrzymał jakieś tajemnicze zlecenia. Opinja widzi zatem w zamordowaniu Koluchewa początek akcji terorystycznej zwolenników Stalina, polegającej na wymordowaniu zwolenników opozycji. Bądź co bądź jest pewnem, iż morderca musiał być znajomym zabitych, zjawił się u nich w przeddzień czynu, i w mieszkaniu ich przepędził noc. Koluchew brał udział w egzekucji jekaterynburskiej. Był on bliskim przyjacielem późniejszego komisarza spraw wewnętrznych Biełoborodowa, który jako prezes sowietu w Jekaterynburgu otrzymał rozkaz wymordowania carskiej rodziny, a obecnie również należy do opozycji. Koluchew był do niedawna jeszcze w komisarjacie Biełoborodowa szefem tajnego wydziału, podczas gdy żona jego była sekretarką centralnego komitetu partji komunistycznej.

Zgon Sazonowa. Dzienniki berlińskie donoszą w depeszach z Paryża, że wedle nadeszłych tam wiadomości z Nicei zmarł Sergjusz Dimitrjewicz Sazonow, który w latach 1910 do 1916 był ministrem spraw zagranicznych Rosji carskiej. Zmarły na udar serca Sazonow liczył lat 67. W pogrzebie wziął udział burmistrz miasta i liczna kolonja rosyjska.

Handlarka kradzionemi psami. O ciekawej aferze wdowy po pośle do parlamentu francuskiego pani Berthier, donoszą pisma francuskie. Dama ta, zostawszy po śmierci męża w ciężkich warunkach materjalnych, zajęła się handlem bardzo drogimi i modnymi pieskami rasy chińskiej i zbiła z tego procederu podobno sporą sumę, sięgającą ćwierci miljona franków. Ponieważ jednak towar pani Berthier jest niespotykany, a popyt na niego był spory, przeto sprytna kupcowa wpadła na następujący pomysł. Ogłaszała oto w gazetach o zaginięciu podobnego psiaka, ofiarowując uczciwemu znalazcy za zwrot 500 franków nagrody. Niewiadomo, w jaki sposób „uczciwi znalazcy“ odnajdywali „zaginione“ psy, dość, że pani Berthier wypłacała znaleźnego 500 franków, a sprzedawała swe pieski po tysiąt do dwóch tysięcy za sztukę. Aferę tę wykrył jeden z dziennikarzy paryskich i przyniosła ona w rezultacie pomysłowej pani posłowej dwa tygodnie więzienia.

Bandyta pustelnikiem. We wsi Castagna, we włoskiej prowincji Catanzaro, zmarł niedawno w 93 roku życia jeden z najgroźniejszych bandytów włoskich Pasquale Scalzo. Człowiek ten przez długie lata trzymał w ciągłej panice i śmiertelnem przerażeniu całą ludność okolicznych wiosek. Po upadku panowania Bourbonów i zwycięstwie Galibaldiego, przystąpił Scalzo do band tamtejszych, które wypowiedziały wojnę stronnikom nowego rządu. W latach od 1860 do 1866 herszt rabusiów z całą swoją bandą przebiegał wzdłuż i wszerz cały kraj, napadając i plądrując mieszkańców i czynami swymi zdobywając przydomek „niezwyciężonego wilka“. Groźny przywódca bandytów miał sam na sumieniu ponad 30 morderstw i cały szereg innych zbrodni. Mimo, że posiadał specjalny dar ukrywania się przed okiem władz sprawiedliwości, został wkońcu przyłapany i przez sąd w Lucca skazany na dożywotnie więzienie. Pełnych 48 lat przepędził Pasquale Scalzo w ponurej celi więziennej, gdzie dokonała się w nim dziwna przemiana psychiczna. Groźny, bezlitośny dla innych bandyta i morderca stał się nagle w ciszy celi więziennej mistykiem i ascetą. Dnie i nocy przepędzał na modlitwie, którą chciał odpokutować za wszystkie popełnione w życiu zbrodnie. W roku 1915 Scalzo za wstawieniem się królowej Heleny został ułaskawiony i wypuszczony z więzienia. Udał się on natychmiast do swej wioski rodzinnej, której nie widział przez pół wieku. I tu ku niesłychanemu zdumieniu wieśniaków, wśród których żyło jeszcze wspomnienie groźnego bandyty, zaczął wieść cichy żywot pustelnika, który nabożnością swoją i miłosierdziem wsławił się wkrótce w całej wsi i jej okolicach i czczony był przez wieśniaków niemal jak święty.

Polowanie na wilki w samochodach. W Europie wilki należą już omal do rzadkości. Rzadko kiedy gromadzą się w stadach, które mogą stać się niebezpiecznemi dla dobytku osad. Inaczej jest w Ameryce. W stanie Dakota i Nebraska w Ameryce wilki pojawiają się jeszcze bardzo licznie i wyrządzają tamtejszym hodowcom wielkie straty. Otóż człowiekiem, który sobie wziął za zadanie uwolnić tamtejszych mieszkańców od tych rabusiów leśnych, jest niejaki Charley Cummings. Od kilku lat poluje on na wilki. Ale nie czyni tego w tradycyjny sposób na koniu i z psiarnią. Kupił on sobie do tego celu przedewszystkiem dobry samochód. Na tyle samochodu zamiast siedzeń znajduje się klatka, w której siedzą jego psy. Tak więc z psami jedzie sobie wygodnie Cummings do miejsca, gdzie się spodziewą znaleźć wilki. Stado szarych zgłodniałych wilków przemyka się przez otwartą płaszczyznę stepu, pokrytego krzewami i zeschłą trawą. Na czele stary, doświadczony wilk, uważnie rozgląda się na wszystkie strony. Nagle przystaje. Z nim przystaje całe stado. W dali na odległej drodze widać jakiś zbliżający się czarny punkcik. Wilki z początku zaciekawione przystają. Ów czarny punkcik coraz bardziej się powiększa, instynkt samozachowawczy każe wilkom uciekać. Ten czarny punkt, to samochód Cummingsa. Pociągnięciem linki otwiera on klatkę i jego psy w pełnym biegu z samochodu wyskakują, rzucając się za szarymi szkodnikami. Cummings jedną ręką trzyma kierownicę, drugą szykuje strzelbę. Psy dopadają wilków, samochód zbliża się na odległość strzału. Kłębią się szare ciała wilków i błyszczące grzbiety pomocników człowieka. Z kłębowiska ciał wilczych wyrywają się szare postacie i smykają w śmiertelnej trwodze. Dwa wilki padają pod kłami gończych psów, reszta pierzchła. Dzień pracy skończony. Cummings upolował w bieżącym roku 151 wilków tylko w stanie Nebraska. Ponieważ władze wypłacają nagrodę za każdego wilka, więc Cummings zarobił już kilka tysięcy dolarów na swoim procederze. Polowanie na wilki stało się jego specjalnością. Psy zostały tak wytresowane, iż wyskakują z auta pędzącego z szybkością 30 km. na godzinę. Charley Cummings również nabrał takiego doświadczenia, że nie chybia, mimo iż strzela tylko jedną ręką. Sławą tego pogromcy wilków rozbrzmiewa obecnie cała zachodnia Ameryka.

Walka z górami lodowemi. Po siedmiu miesiącach pracy na oceanie do portu w Nowym Jorku zawinęła flotyla łamaczy gór lodowych. W kwietniu wyruszy znów na pełne morze. Od czasu zatonięcia „Titanica“, który rozbił się o górę lodową, stworzyły Stany Zjednoczone specjalną flotę, złożoną z 20 parowców, których zadaniem jest rozsadzanie gór lodowych. Załoga parowców jest amerykańska, koszta jednak utrzymania eskadry opłaca 14 państw. Dowódcą tej floty jest kapitan R. S. Wilson. Ciekawy to rodzaj zajęcia, połączony z wieloma trudami i niebezpieczeństwem. Stare wilki morskie stanowią załogę statków przystosowanych do walki z górami lodowemi. Ze szczytu masztu przy pomocy szkieł obserwatorzy badają widnokrąg. Upływa nieraz po kilka tygodni, nim wypatrzą górę lodową. Często trudno ją dostrzec, gdyż ogromna masa lodowa znajduje się pod wodą, a ponad jej powierzchnią wygląda zaledwie wierzchołek. Takie góry są najniebezpieczniejsze. Skoro obserwator na maszcie da sygnał: Góra lodowa w pobliżu — załoga spuszcza na wodę łodzie motorowe i uzbrojona w świdry automateczne, oraz zapasy substancji wybuchowej, podpływa ostrożnie do góry lodowej. W kilka minut po wywierceniu otworów i założeniu w nich miny, następuje wybuch. Prawie nigdy nie zdarza się, aby góra rozleciała się po jednej eksplozji, często trzeba zużyć 20 do 30 ładunków, czasami zaś nie można wogóle rozsadzić bryły lodu. Wtedy jeden ze statków otrzymuje rozkaz patrolowania jej. Krąży więc w pobliżu góry takiej, oświetla ją reflektorami i ostrzega okręty przed niebezpieczeństwem. Patrolowanie trwa nieraz kilka tygodni, aż golfstrom roztopi podwodną masę lodową. Reszty zaś dokonają miny. Od czasu gdy po oceanie krąży flotyla łamaczy gór lodowych, wzrosło znacznie bezpieczeństwo żeglugi.

Rzezie w Chinach. Donoszą z Hong-Kong, że przybył tam angielski okręt, na którego pokładzie znaj-

dowali się uwolnieni z niewoli włoscy księża i zakonnice Opowiadali oni, że byli świadkami egzekucji, które codziennie odbywały się na podwórzu więzienia. Egzekucje dokonywane są obecnie już nietylko w miastach prowincji w Hoż Luk Fang, ale również we wszystkich większych wsiach, w których została wprowadzona zupełna organizacja sowiecka. Często widziano ofiary prowadzone przez ulicę z zakneblowanemi ustami mające nosy i uszy poodbijane kijami. W pierwsze święto Bożego Narodzenia rano odbyło się 13 egzekucyj, w tem 4 kobiety. Naoczni świadkowie obliczają ilość egzekucyj dokonywanych w ciągu ostatnich dwóch miesięcy na przynajmniej 150 dziennie. Głowy straconych składane są w komunistycznych lokalach zgromadzeń i przybijane na ścianach Wśród członków organizacyj komunistycznych znajdują się zupełnie młode osoby obojga płci w wieku od 15 do 18 lat.

„Święty słoń“. W Indjach azjatyckich słoń biały uważany jest za istotę świętą, bo za wcielenie Buddy, twórcy religji buddaistycznej, najbardziej rozpowszechnionej wśród Hindusów. Taki słoń nazywa się „białym“, choć jest właściwie brunatno - czerwonym z trochą białych włosów. Hindusi skoro spostrzegą w lasach białego słonia, postanawiają osadzić go w świątyni, a to wywyższenie odbywa się dla biednego zwierzęcia w sposób bardzo bolesny.



Gromady myśliwych na słonie, przy pomocy oswojonych słoni, a posługując się hukiem wystrzałów, ogniem i dymem, wpędzają białego słonia na wolną polankę w lesie, gdzie mu myśliwcy zarzucają elastyczne pęta na nogi. Tak unieruchomione „bóstwo“ głodują i niepokoją aż dopóki nie opadnie z sił. Po trzech dniach wreszcie schwytany słoń zaczyna przyjmować pożywienie, oswaja się i przyzwyczaja do roli „bóstwa“. Początek takiego krępowania przedstawia nasz obrazek.

Potrzebne... lewe ucho. W dziennikach chicagowskich ukazało się w tych dniach ogłoszenie, donoszące, że potrzebne jest za dobrą zapłatą — lewe ucho. Jak się okazało, ucha tego potrzebuje pewna zamożna mieszczanka Nowego Jorku, która podróżując przed dwoma laty po Europie, straciła ucho wskutek przewrócenia się auta, w którem jechała. W odpowiedzi na niezwykłe ogłoszenie nadeszło 13 ofert: dwanaście od kobiet, a jedna od młodego mężczyzny. Z ofert tych ajent ogłoszeniowy Jay Mac Carthy, pod którego adresem miały być nadsyłane, wybrał ofertę młodej, przystojnej stenotypistki chicagoskiej, Doris Clark, która gotowa była poświęcić piękne swe ucho za przyzwoite wynagrodzenie.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Katlewicz St. z Bochni na gwiazdkę dla Maćka 2 zł., Rusek Wł. dla Maćka 50 gr., Chmiel Fr. na olej dla Maćka 1·10 zł., Trzop Franc. 40 gr., Chmiel Dominik na binokle dla Maćka 1 zł., Zofia Jarolimowa z Dębicy 5 zł., Jam Krempa z Krakowa 1 zł.

RZECZY CIEKAWE.

Fabrykacja leniuchów.

W Londynie w dzielnicy Southwark istnieje siedziba tego dziwnego przemysłu. Uprawiają go t. zw. „gurdians“, czyli funkcjonarjusze, mający za zadanie roznosić zapomogi przyznane przez Kasę ubogich. Niedawno przeprowadzona kontrola wśród owych gurdians, ujawniła, iż szereg rodzin żyło w błogiem lenistwie, dzięki zapomogom tak wygorowanym, że ojcowie rodzin woleli poprostu je pobierać, niż szukać pracy.

Niektóre z nadużyć tego rodzaju ciągnęły się od lat, a jeden z funkcjonarjuszy oświadczył, iż ile razy zachodził do jednej ze wspomaganych rodzin, zastawał zawsze małżeńską parę otoczoną gronem dzieci, wygodnie wylegującą się w łóżku, gdyż mąż, barczysty wałkoń, odrzucał wszelką ofiarowywaną mu pracę, mimo że mógł zarobić trochę więcej niż otrzymywał zapomogi. W innym zaś wypadku, pewien z jałmużników, któremu groziło wstrzymanie „zarobku“, zagroził funkcjonarjuszowi, że o ile to nastąpi, zbije go na kwaśne jabłko, wobec czego funkcjonarjusz w dalszym ciągu przynosił pieniądze. Cyfry w raporcie kontrolerów wykazują, iż na 1258 osobników zdrowych, silnie zbudowanych, mogących doskonale zarabiać na życie — 391 otrzymywało regularnie zapomogi od roku do trzech lat; 96-u od przeszło trzech lat i 113-u od przeszło czterech lat.

W dniu 22 października ubiegłego roku na liście otrzymujących zapomogi było o 417 osób mniej, niż w roku zeszłym w tym samym miesiącu; wzamian za to, wypłacono o 125 f. st. więcej tygodniwo, a zapomogi w naturze zmniejszyły się tylko o 71 f. st. na tydzień. Przy tego rodzaju administracji, chroniczne lenistwo staje się doskonałem zajęciem.

Wartałoby i u nas zrobić przegląd bezrobotnych, a zapewne możnaby znaleść wśród nich wielu, którym się pracować nie chce, gdyż wolą bez pracy otrzymywać zasiłki.

Los bliźniąt.

Na zachodniem wybrzeżu Afryki bliźnięta uważane są za objaw gniewu czarnych bogów. Ojciec bliźniąt zakopuje żywcem swoje „pociechy“ i starannie unika tego tematu w rozmowach towarzyskich. W salonach afrykańskich poprostu „nie wypada“ używać słowa „bliźnięta“, chyba w uniesieniu, kiedy człowiek nie wie, co mówi. Powiedzieć komuś jest „bliźnię“, poczytywane jest za straszliwą obelgę.

W Nowej Gwineji, w prowincji Nalabar Bogu ducha winne dwojaczki uważane są za upominek, przysłany przez moce piekielne, dlatego też cała wieś bierze udział w torturowaniu niemowląt.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Józef Kubik** w K.: Komu przypada nagroda za rozwiązanie zagadek, to zależy tylko od szczęścia przy losowaniu. Im kto częściej nadsyła rozwiązania, ten ma więcej danych do otrzymania nagrody. — **Józef Stożek** w K.: Wierszyk zupełnie dobry, więc będziemy starali się go umieścić wkrótce. Kiedy — to zależy od względów technicznych. — **Jan Kubik** w N.: Zapytuje Pan, który król polski Władysław powinien nosić miano III, czy Władysław Łokietek, czy Jagiełło, czy wreszcie Warneńczyk, gdyż twierdzi Pan, że Władysław Herman był pierwszy, Władysław syn Bolesława Krzywoustego II, a Władysław Waza IV. Otóż trzeba Panu wiedzieć, że Władysław Herman i Władysław II byli tylko książętami, więc tytułu królewskiego nie mieli. Dopiero pierwszym **królem** z imieniem Władysław był Łokietek i jemu, jako królowi, przysługuje tytuł Władysław I. Jagiełło powinien mieć tytuł: Władysław II,

Warneńczyk: Władysław III, a Waza: Władysław IV. — **Karolina Jarecka** w B.: Ustawa o ochronie lokatorów była dobrze pomyślana, ale obecnie dzięki posłom socjalistycznym została wypaczona. Bo jak lokatorzy są bogaci i biedacy, taksamo i kamienicznicy są tacy i tacy. Otóż bogaty kamienicznik posiada dom, obejmujący mieszkania wielopokojowe, i ten dziś pobiera czynsz, wprawdzie mniejszy, aniżeli przed wojną, który jednak wystarcza mu na konieczny remont domu, na podatki i t. p. i pozostaje mu jeszcze taka nadwyżka, że z niej może wyżyć bez troski, a nawet i coś niecoś odłożyć. Natomiast biedny kamienicznik to jest taki, który ma dom, obejmujący tylko mieszkania jednoizbowe lub pokój i kuchnia. Ponieważ co do takich mieszkań ustawa nie dopuszcza podwyżki czynszu, choćby tak minimalnej jak 6%, więc też lokatorzy takich mieszkań płacą wprost śmieszny czynsz w kwocie kilku złotych, który często nie dochodzi połowy ich jednodniowego zarobku. Wobec tego taki kamienicznik nietylko nie ma żadnego dochodu z swej kamienicy, ale częstokroć nie zdoła czynszem pokryć rozmaitych podatków, a cóż dopiero mówić o remoncie domu, lub utrzymaniu się z czynszu. Jeżeli kamienicznik taki posiada siły i na swe utrzymanie zarobić potrafi, to jeszcze pół biedy, ale jeżeli mu tych sił brakuje, to jest gorszym dziadem, aniżeli najbiedniejszy jego lokator. Słuszną rzeczą jest bronić biednych, ale nigdy nie należy czynić tego kosztem jeszcze większych biedaków. I dziwić się należy, że na 444 posłów w naszym sejmie nie znalazł się ani jeden, któryby te niesprawiedliwości potrafił wykazać i uzyskał ich usunięcie, aby ta 6% podwyżka, która dotyczyła więcejpokojowych mieszkań, obejmowała także mieszkania jedno- i dwuizbowe. Wszak kto może zapłacić za miesiąc 5 zł. czynszu, mógłby bez uszczerbku dla siebie zapłacić i 5 zł. 30 gr. I tu właśnie socjaliści, broniąc jednych, krzywdzą drugich. A jeżeli ma być sprawiedliwość, to powinna ona być dla wszystkich. **Stanisław Ziaja** w D.: Dziwi się Pan, że tylu ludzi w waszym powiecie ma apetyt na mandaty poselskie? My nie dziwimy się wcale! Przecież to tak przyjemnie nic nie robić, brać pieniążki za darmo, jeździć sobie koleją pierwszą klasą, a do tego jeszcze odbierać pokłony od swoich znajomych. Jeszcze żaden poseł na poselstwie nie zubożał, ale wielu z nich dobrze w piórka porosło. Dlatego też tak wiele hołoty pcha się do sejmu. Gdyby tak zaprzestano dawać im sute pensje, a za łapówki i inne nadużycia sadzano natychmiast do kryminału, zapewne nie byłoby tylu chętnych do rzekomej pracy dla dobra ludu. — **Jan Styś** w Z.: Niech sobie Pan z anonimów nic nie robi; żaden uczciwy człowiek nie ucieknie się do anonimu. Czynią to tylko ludzie podli, którzy nie mają odwagi wziąć odpowiedzialności za swe oszczerstwa. Najlepiej z pogardą przejść nad nimi do porządku dziennego. — **Alojzy Zubek** w K.: Dziękujemy — wysłaliśmy prócz jednego, którego adres był niewyraźny. Cześć! — **A. Pustelnik** w Cz.: Dowodem, żeśmy otrzymali będzie nadsyłanie Panu „Roli". Dziękujemy. — **„Stanisław"** w Sz.: Dla wszystkich agencyj 20%. Rachunek przyjdzie. Pod wskazanym adresem do Zaborowa numer z czekiem wysłaliśmy. Do Ujścia idzie ośm. Do Koszyc nie wysyłamy dotąd i prosimy o poparcie. Za dotychczasową przysługę dziękujemy. Cześć! — **Karol Kroczek** w K.: Zgoda, zgoda! W sprawie tej choroby to możeby Pan ją opisał p. Unsingowi, którego ogłoszenie jest na trzeciej stronie okładki. Pewna nasza prenumeratorka pisała nam, że „Rolę" zaprenumeruje dlatego, ponieważ w niej znajdują się artykuły p. Unsinga, który wyleczył ją z choroby na którą medycyna nie zna środków. Cześć! — **Tadeusz Traczyk** w O.: Za pozdrowienia dzięki. Dług niewielki 1 zł. 50 gr. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Jan Żmuda** w B.: Za życzenia serd. dzięki jak również i za nowego prenumeratora. Cześć! — **Franc. Trzebuniak** w K.: Odebraliśmy — dziękujemy i wzajemnie życzymy. Cześć!

Zgubiono kartę odroczenia na nazwisko Andrzej Drobinia urodz. w Woli Radziszowskiej w r. 1901 wyst. przez PKU. Kraków.

Unieważniam zgubiony dokument wojskowy wydany przez PKU. Wilno na nazwisko Jan Hass.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Rosji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierze ziemne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gościniec.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miary angielskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Święto żydowskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd sportowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dzielnica Polski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Szata liturgiczna.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Materjał budowlany.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wielka ilość wojska.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzemieślnik.

Początkowe litery czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko autora tego logogryfu.

2. Szarady.

I.

(Ułożył „Yoga" z K.).

Cyrk się rozpoczął. Pierwsza-trzecia
Już rozpięte, po której chodzą artyści.
Poszły Rózia, Fela i Miecia
Do cyrku. A salę służący wyczyścił
Z drugich piątych. A sala nie była
Trzecia druga, gdyż dużo było ludzi
Z wyższych czwartych piątych. Roznosiła
Po sali zaś tace (apetyt budzi)
Czwartych drugich pierwszych pełne
Plika chłopców; synami zaś byli
Ojców-chłopów, którzy ich uczyli
Z czwartej pierwszej żyć, jak wełnę
Zyskać, co to jest Polska, co w niej leży,
Odkąd Polska do całości należy.

II.

(Ułożył Jan Grych z G.).

Pierwsze trzecie — to rzecz lotna.
Pożyteczna, czasem psotna.
Druga trzecia — to mieszkanie
Najbiedniejszych. Jest śniadanie
Gdy ci trzecie drugie dają.
Trzecie czwarte wszyscy prawie
Po sztuk kilka w domu mają.
Czwarta trzecia zwykle nocą,
Gdy miljardy gwiazd migocą.
We śnie zjawia się u ludzi
Niepotrzebnie straszy, trudzi,
Czwarta pierwsza w czas spokojny
Przyda się, a w czasie wojny
Jest niezbędną — więc śród wielu
Rzeczy miej ją przyjacielu.
Całość znów przed ludzkiem okiem.
Igra cudów swych urokiem.

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z S.).

I.

Nie człowiek nie zwierzę, bez wozu i koni,
Posuwa się po ziemi, nawet ludzi goni.

II.

Beznożne to stworzenie, a ma w sobie [roślinę,
Na barkach dźwiga dom swój jakoby łupinę.

III.

Jaką głoskę w drugą włożyć,
By napój stworzyć i spożyć.

IV.

(Ułożyła Irena Kaczorówna).

Siedzi dwójnoga na trójnodze i ogryza nogę,
Przyleciał do niego czwórnoga i porwał [mu nogę.
Jak złapie dwójnoga trójnogi, jak wyrznie [czwórnogę w nogę
Aż mu utrącił nogę.

5. Przestawianki.

(Ułożył Alfons Czader z S.).

I.

Z nazwiska „Bassara" ułożyć jedenaście wyrazów.

II.

Marty wracały od Kazi.

III.

Ba! Dziewica rwie groch?

Z powyższych zdań ułożyć znane przysłowia.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 52 „Roli": 1. Logogryf: Maciek Bzdura gada. Zagadki do nagrody. 2. Szarady: Kraszewski. Politura. Szczeplinka. Karykatura. 3. Łamigłówka: Las, ale, Sewer, Ewa, rak. 4. Łamigłówka: Walenty, Tytus, Samuel, Rajmund, Rafał, Polikarp, Pantaleon, Mikołaj, Makary. 5. Bilety wizytowe: Juljusz Słowacki. Wincenty Pol.

Rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Florjan Ciebiera z Rz., „Yoga" z K., Wł. Marko z K., Józef Kubik z K., Stanisław Czaja z Szcz. i Jan Dobrzański z K.

Nagrody wylosowali pp.: Stanisław Czaja z Szcz i Jan Dobrzański z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Konkurencja.

— Gdzie kolega pracuje?
— Nigdzie.
— A na wykłady uczęszcza kolega?
— Nie.
— A wogóle co kolega robi?
— Nic.
— Dobre zajęcie.
— Niezgorsze, tylko duża konkurencja.

Zgaduj gadula.

— Jakże spędzacie miodowe miesiące?

— Doskonale! Żona gotuje, a ja odgaduję, co to za potrawa. Nie masz pojęcia ile przy tem jest śmiechu!

U lekarza.

Lekarz do pacjenta: — Nie jest to w tej chwili niebezpieczne, ale ten wrzód na plecach powinien pan mieć ciągle na oku.

W kabarecie.

— Maniu, poco zawiązujesz supełek na chusteczce?

— Żeby nie zapomnieć tej melodji, którą teraz grają, proszę mamy.

Przy table d'hote.

Jeden z gości zgarnia wszystkie rzodkiewki z salaterki na swój talerz i zabiera się do jedzenia. Na to zwraca się do niego sąsiad i mówi:

— Panie, my także lubimy rzodkiewki.

— Ale nie tak, jak ja.

Niecierpliwa.

— Tylko, moja droga, nie opowiadaj nikomu o naszych zaręczynach.

—Jedynie Zosi. Ta nieznośna powiedziała, że nie znajdzie się taki głupiec, któryby się ze mną ożenił!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 1 stycznia b. r.

Pszenica	51·00—52·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies	37·00—37·50	Koniczyna na-sienn. czer.	360·00—370·00
Jęczmień	38·00—39·00		
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	28·00—29·00
Fasola biała	44·00—46·00	Mąka żytnia	60·00—62·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Mąka pszen.	82·50—81·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.